



ROK LVIII

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 44

WARSZAWA, 31 LISTOPADA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Szkołą życia nie są księgi—*A. Pobożanka*. Nad opuszczoną mogiłą—*C. Walewska*. Ku czci zmarłych dzieci w Japonji—*al.* Wiersze: Kiedy liście opadną—*Luigi Steccetti* (tłumaczyła *Zofja Rościszewska*). Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth*. W kraju pracy—*Helena Boguszewska*. Strach—*Paweł Winikowiecki*. Piękna Pamela c. d.—*Karolina Bielańska*. W walce z klęską ślepoty—*C.* Świeża mogiła—*A.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Nic ważnego—*Marja Kuncewiczowa*. Z sali odczytowej—*C.* Z teatrów—*Z. P.* Z ruchu wydawniczego. Dział praktyczny: Mody i roboty. Kapelusze dziecinne. Pantofelki i drobiazgi toaletowe. Od Empire'u do krynoliny—*Spero*. Trud fizyczny, a równowaga duchowa—*N. cka*. Jak sadzić i pielęgnować maliny—*Z. ska*. Różne sposoby prania (c. d.)—*I. S.* Reminiscencje z kursu wykładów o przetworach owocowych T. M. O.—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.)—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*) **ARKUSZ WZORÓW.**

SZKOŁĄ ŻYCIA NIE SĄ KSIĘGI



listopadowe dni myśl nasza odrywa się od trosk codziennych i łączy się z tymi wszystkimi, co nas odeszli. Zatrzymujemy się dłużej niż zazwyczaj w krainie zmarłych, wspominamy nie tylko naszych najbliższych, ale i tych wszystkich, z którymi nas ongiś łączyły nici przyjaźni i wspólnej pracy.

Niechże w to doroczne święto obcowania ze zmarłymi myśl nasza uleci ku dalekim, częstokroć rozmytym przez deszcz i burzę, mogiłkom, gdzie śpią snem wiecznym nasi żołnierze.

I może nasunie się nam wtedy niepokojące pytanie: czy w stosunku do nich nie mamy sobie nic do wyrzucenia?

W latach niewoli wróg niszczył mogiły bohaterów, surowo karał tych, co cześć im oddawali, a jednak, mogiły ciągle kryło świeże kwiecie, a pamiętali imiona i dzieje ofiar przemocy wszyscy.

Dziś tajemniczy ofiarodawcy składają kamienie poświęcone pamięci nieznanego żołnierza. Lecz czy można to nazwać spełnieniem narodowego obowiązku?

A tymczasem stopniowo ginie pamięć o pierwszych żołnierzach Polski, o tych, co krwią swą wyznaczyli jej granice, co życie swe kładli na fundament gmachu wolnej Rzeczypospolitej.

Zagranicą uderza wszędzie cześć, którą wszyscy otaczają pamięć poległych. Poszczególne rodzaje broni wznoszą wspaniałe pomniki ku czci swych szeregowych. W szkołach, gmachach publicznych, przedsiębiorstwach prywatnych, wszędzie widnieją, otoczone wciąż świeżymi kwiatami, kute w marmurze, lub kamieniu, nazwiska tych, co w danej instytucji pracowali i złożyli największą ofiarę ojczyźnie. Po wsiach i miasteczkach, na cmentarzach i w kościołach, przy świętych figurach, widnieją pomniki, tablice z wrytymi nazwiskami tych, co w latach 1914—1918 zginęli za ojczyznę.—Są tu wymienione daty, miejscowości gdzie polegli. Często nieznane jest miejsce wiecznego spoczynku młodego żołnierza, ale zato żyje pamięć o nim? Żyje wśród współczesnych i przekazana zostaje następnym pokoleniom.

Małe dzieci już nie pamiętają tych, co odeszli, nie znają rysów twarzy, ale wiedzą jak służyli ojczyźnie—oto starsi, wskazując im nazwiska, opowiadają jacy to byli ci Pierre, Jim, Berti, jak wyglądali w mundurze, gdy wpadli na urlop, jacy byli weseli, co mówili, jak zdobywali krwią swe naszywki podoficerskie i oficerskie epolety. Postacie poległych ożywają, wcho-
dzą w życie i uczą młode pokolenie bez patosu: co to jest ojczyzna, jak żyć dla niej należy i jak spełnić swój względem niej obowiązek.

Nie zerwała się nić, wiążąca tych, co odeszli, z tymi co zostali.

Widziałam w szkole angielskiej tablicę—zrobili ją sami uczniowie, heblując i zbijając deski, rysując i wypalając na drzewie—nazwiska. — Imiona chłopców i dziewcząt sanitariuszek były drobniące — te same imiona jakimi wołali ich koledzy, profesorowie. W kilku słowach było zamknięte krótkie młodzieńcze życie.

Tablica opowiada jak Regie czy Bob miał lat dwanaście, trzynaście, gdy przyszedł do szkoły, jakie brał odznaczenia, jakie nauki najwięcej lubił — kiedy wstąpił do wojska i jak i gdzie poległ. Jak dosięgła go śmierć, gdy wyszedł z okopu po ranne go kolegę, lub gdy prowadził do ataku swą kompanię.

Niema w tym hołdzie nic oficjalnego — jest prostota—serce—cześć.

Ci co odeszli „nie ze wszystkim umarli“, żyją wśród swych młodych kolegów i są ich najlepszymi mentorami.

Musimy docenić olbrzymie wychowawcze znaczenie, jakie zawiera w sobie spełniany obowiązek.

Obowiązkiem kobiet polskich, wychowawczyń nowych pokoleń, jest podjęcie w jak najszybszym czasie akcji, mającej na celu utrwalenie pamięci żołnierzy polskich, poległych za Ojczyznę.

Wszak należymy do tych, co nie zapominają.

Zacznijmy od najprostszego ustalenia nazwisk, starajmy się zbierać numery pułków, daty i miejsca śmierci.

Zwróćmy się do duchowieństwa, niech każdy proboszcz wezwie parafian do zgłaszania nazwisk, niech co niedziela po nabożeństwie ktoś je zapisuje.

Nim zbierze się fundusze na krzyż, na tablicę, na wykucie w kamieniu, niech choć na papierze zostaną pięknie wypisane otoczone ramką i powieszone w kościele.

Bo przecież szkołą życia nie są księgi
Ni uczonych pism foliały,
Jeno groby bohaterów,
Zmarłych dla ojczyzny chwały.

A. Pobożanka

WSPOMNIENIA W DNIU ZADUSZNYM

JÓZEFIE SAWICKIEJ-OSTOI POŚWIĘCAM

NAD OPUSZCZONĄ MOGIŁĄ



est na Powązkach grób, do którego trafić nie mogę — grób polskiej autorki.

Żyła bujnie — zawsze pełna brawury, humoru świetnego, trochę zjadliwego, niekiedy paradoksalnego, ale zawsze w samo sedno sprawy trafiającego dowcipu. Zawsze wytworna, bardzo rasowa — mimo nadmiernej tuszy i wady lewego oka — dama, wnosząca z sobą tą swobodę obejścia, którą daje dziedzictwo pokoleń, wychowanych w szlacheckim dobrobycie i — w pewnym doświadczeniu form życia.

Znały ją przedwojenne salony inteligencji warszawskiej — Marrenowej, Krausharów, Mellerowej, Kotarbińskich, Karłowiczów, Rajchmanów, Zielińskich. Miała sama swój własny salon o odrębnym charakterze od innych. Na trzecim piętrze w domu przy ulicy Chmielnej schodziła się cyganerka literacka, t. zw. cyrk, w którym każdy miał swoją rolę.

Dyrektorką była Ostoja. Dyrektorem — najwybitniejszy krytyk polski ostatniej epoki — Ignacy Matuzewski, o którym, niestety, za-

pomnieliśmy zbyt szybko, choć prace jego nigdy nie stracą na wartości, pisane z bezprzykładną erudycją, pod kątem najszerzych uogólnień, a przytem — badań mrówczych i drobiazgowych zestawień literatury obcej ze swoją.

Ten Grek, nawskroś przejęty wyczuciem, zrozumieniem i nastroszeniem modernizmu — ten dialektyk — sofista, bardziej zamiłowany w dyskusji, aniżeli w pisaniu, które przychodziło mu ciężko, bo trud jego — to było jakby mozolne wdzieranie się na wierzchołki, rozglądanie po wyżynach i nizinach, wypatrywanie punktów i punkcików, potrzebnych do zsumowania wiedzy o jednym danym przedmiocie, jednej danej sprawie — ten ateńczyk z Partenonu i ten, przeczulony modernista, esteta, jak Sokrates wsłuchany w głosy „dajmonium“ — miewał chwile szaleńczej wesołości.

Najpoważniejsi myśliciele i literaci — Piotr Chmielewski, Antoni Lange, Władysław Jabłonowski, Zygmunt Wasilewski, Wład. Rey-

mont, Daniel Zgliński — obcy przybysze — Czech Rozwoda, który później siedział w więzieniu za przewożenie z za kordonu Przeglądu Wszechpolskiego, — bawili się w cyrku Ostoi-Sawickiej jak dzieci. Wychodziły stamtąd satyry na osoby i fakty bieżące, na wydarzenia, których nie wolno było poruszać w prasie. Wychodziły patryotyczne ulotki, których źródła próżno usiłowali wysledzić żandarmi moskiewscy. Rozfruwało się to po Warszawie i prowincji, docierało niekiedy za kordony, ale więzło pieczęcią tajemnicy w białych ścianach przytulnego salonu na ulicy Chmielnej.¹⁾

Nazewnątrz była Ostoja rozbawiona, pewną siebie autorką dwóch tomów jędrnych, mocnych w napięciu nowel, przyjętych entuzjastycznie przez krytykę, tłumaczonych na parę obcych języków, czytanych po dzień dzisiejszy jeszcze, bo — mimo lat — nie straciły na wartości. Ale dusza jej była tragiczna, obca sobie w osamotnieniu swoim i w nagłym przerzucaniu się z treści do treści życia — biegunowo sobie przeciwnych.

Rozpieszczona, rozbawiona, roztańczona, zamożna panna z kresów na wydaniu, — po śmierci rodziców

¹⁾ Opisała cyrk Ostoi-Sawickiej i inne przedwojenne salony warszawskie H. Cey-singerówna w Nr. 4 „Echa Warszawskiego“ z dn. 16 marca 1924 r.

znalazła się w Warszawie, gdzie konieczność zmusiła ją do ciężkiej pracy.

Przychodziło to z trudnością narazie, ale nikt nigdy nie słyszał skarg jej. Broniła ją od tego duma rasowa, bijąca z szerokiego, wypukłego, czoła i warg, mocno zarzysowanych. Najbliżsi tylko wiedzieli, jak coraz twardziej układało się jej życie, jak coraz bardziej gorzki był los tej hardej samotnicy.

Straciła brata jedyne, a z nim — całą już najbliższą rodzinę. Umarły bogate ciotki na Litwie, do których jeszcze czasem jeździła, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądają pałace. Zostało tylko kilka przyjaciółek — Marja Weryho Radziwiłłowiczowa, Marja Cz. Przewóska, Stefania Sempołowska, Helena Szalayowa — białe murzynki, jak ona. Została praca.

Pisała. Ale — poza dwoma pierwszymi tomami wszystko późniejsze już było niedociągnięte, słabe. Dawała lekcje na pensji żeńskiej i w kompletach u siebie. Przytem — jak wszystkie inteligentki ówczesne — uczyła dzieci proletariatu bezpłatnie. Dziesięć, niekiedy więcej godzin na dobę, mozolnego wysiłku, a wieczorami — posiedzenia w sprawach politycznych lub tajnego nauczania, projektowanych narodowych manifestacji, zakazanych, a jednak przerwanych obchodów, zakordonowanych porozumień, tajnych wydawnictw. Zbierali się w jej domu konspiratorzy — młodzież i starsi, przewodnicy ruchów podziemnych. Składano u niej bibułę, naznaczano sobie schadzki.

Urodzona satyryczka, nieraz powiedziała o bliźnich coś niepotrzebnie i przypięła nieprzyjemną łatkę. W konspiracji była milcząca, jak grób.

Na kilka lat przed wojną owładnął nią częściowy paraliż. Pracowała jednak ciągle, dając lekcje u siebie i — nie skarżyła się nigdy.

Aż straszna choroba zmogła silny organizm. Bezwładna, a może i nieprzytomna — kto odgadnie, co czuje i myśli dusza w odrętwiałem ciele? — zmarła w szpitalu.

Zwłoki Jej przeleżały parę dni w kostnicy, zanim dowiedziały się o śmierci najlepsze przyjaciółki i opiekunki — pp. M. W. Radziwiłłowiczowa i M. Cz. Przewóska.

Odbył się, dzięki pomocy Kasy Literackiej i T. wa Literatów - Dzienni-

karzy, cichy, skromny pogrzeb. Kilka osób zaledwie szło za konduktem.

Los nie pozwolił mi pożegnać zmarłej, stanąć nad tym maleńkim, głęboko w ziemię zarytym domkiem, który jest jej ostatnią przystanią.

Nie wiem, gdzie grób Ostoi. Nie umiem go odszukać.

Czy kto pamięta o nim?

Może rzuci wieniec i zatrzyma się chwilę przyjaciółka? — Może obejmie go bezwiednym wzrokiem przechodzień?

Gdy w Dzień Zaduszny rozpalą się światła na mogiłach — gdy Powązki są jak jeden płonący kwietny ogród — gdy czerwonych, jak rubinowe łyż lampek pilnują późnym zmierzchem jesiennym żałobni krewni, — nad jej grobem nikt nie klęczy, nie płacze, nie mówi pacierzy. Nie palą się światła i nie kołyszą kwiaty. Padnie zwiędły liść kasztana i może przywrze do twardej ziemi domu wiecznego zbłąkanym topazem, a może wiatr go odrzuci.

Pusta, obca mogiła. A taki swój, taki własny człowiek pod nią.

Pracowałaś dla Polski, dumna, harda konspiratorko, a nie wybiła dla ciebie godzina, której w snach naszych, w marzeniach najcudniejszych czekaliśmy wszyscy, może nie dla nas samych — to zdawało się zbyt śmiało — ale dla tych, co po nas przyjdą.

Tymczasem — tak nagle, jak błyskawica, stał się cud — cud wyzwolenia!

Czemu odeszłaś, nim rozbrzmiał wielki, święty, spizowy dzwon?

C. Walewska.



KU CZCI ZMARŁYCH DZIECI W JAPONJI*)

Jest w jednym z najstarszych miast japońskich dziwna świątynia — tak dawna zapewne, jak sama Osaka, która istnieje już od lat 2500 z górą.

Zdaleka bije w oczy dwupiętrowa wieża — dzwonnica o chińskiej strukturze. Jeden z dzwonów jej nazwano Indo-no-Kané albo dzwonem Przewodnikiem; dźwięk jego bowiem prowadzić ma duchy zmarłych dzieci poprzez ciemności.

Niższa izba dzwonnicy stanowi kaplicę, w której odbywają się budystyczne nabożeństwa. Płoną wów-

czas światła, drżą od posągu Buddy złote połyski, kołyszą się dymy kadzideł, mruczą modlitwę kapłani, klęczą kobiety i dzieci.

Obcego przybysza, który wchodzi tu po raz pierwszy, uderza niesamowity, dziwny widok. Po obu stronach kaplicy — w górze, na dole, wszędzie tabliczki zmarłych dzieci, a przy nich — na pałkach i podstawach — tysiące zabawek.

*) Opracowane według Lafcadio Hearn, „Gleanings in Buddha — Fields”, — wyjątek z opowiadania „In Osaka.”

Małe pieski, konie, krowy, rycerze, bębny, trąbki, broń tekturowa, miecze drewniane, lalki, maski, małpki, czółenka, sprzęty i naczynia dziecięce, zabawne obrazki bogów szczęścia. Nowe bawidełka i stare — o typie dawno zapomnianym — nagromadzone od wieków — po przez całe pokolenia zmarłych maleństw.

Od sklepienia aż do samego dołu przy wejściu spuszcza się wielka, ciężka, różnokolorowa lina o czterech prawie calach objętości — lina dzwonu Indo-no-Kané,

zrobiona ze smoczków niemowląt, które odeszły — żółtych, niebieskich, szkarłatnych, purpurowych.

Sklepienie samo niewidzialne. Głęboko pod setkami delikatnych, subtelnych ubrań dzieci — nieboszczyków. Mali chłopcy i dziewczynki, klęcząc lub bawiąc się na matkach, w pobliżu księdza, przynoszą z sobą zabawki, aby je złożyć w kaplicy przed tabliczką zmarłego braciszka lub siostrzyczki. Co chwila ktoś z osieroconych rodziców — ojciec albo matka — podchodzi do drzwi, pociąga za sznur dzwonu, rzuca drobną monetę na matę i odprawia modlitwę.

Wierzy się święcie, że każde uderzenie dzwonu słyszy mała duszyczka — być może, aby znaleźć drogę do najulubieńszej swojej za-



bawki lub do twarzy ukochanej. Żaloszny szmer Namu Abida Butsu, dźwięk dzwonu, głębokie prozodyczne mrużenie kapłana, odczytującego Księgi Satras, brzęczenie padających na matę pieniędzy, słodki, ciężki zapach kadzideł, beznamietne złote piękno Buddy, w jego własnej kapliczce, radosna barwność zabawek, cienie ubrań dziecięcych, cud różnokolorowej wielkiej liny dzwonnicej ze smoczków niemowląt, — wesoły śmiech małego ludu, rozbawionego na podłodze świątyni, — robi to jakieś dziwne, niesamowite, nigdy nie zapomniane patetyczne wrażenie. al.

LUIGI STECCHETTI

KIEDY LIŚCIE OPADNĄ

*Kiedy liście opadną i przyjdiesz w jesieni
Krzyża mego szukać między mogiłami,
W ustroniu, co od kwiatów rozkwitłych się mieni,
Odnajdziesz go na ziemi przepojonej łzami.*

*Wtedy wpleć w złote włosy swoje — ukochana
Kwiaty wyrosłe z serca mego na tej glebie:
To marzeń mych o tobie karta niespisana
I szereg słów tajonych, co kochały ciebie.*

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

22

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Jeżeli mężczyzna popiera tylko mężczyznę, a bojkotuje kobietę.

A kobieta także popiera tylko mężczyznę, a bojkotuje kobietę...

Zapytuję, co z tego może wyjść?..

Na cóż nam się zdadzą wszystkie prawa, jeżeli my same podcinamy sobie nogi?

Biorę na przykład medycynę (inne zawody nie nadają się tak do zdemontowania stosunków).

Wiemy, jak często, kobiety kończą medycynę ze złotym medalem, cum eximia laude etc. i t. d.

Widzimy je potem bardzo często na stanowisku asystentek. Fakt ten jest wymowny. To znaczy, że wiele z pośród nich, są to osobistości naprawdę zdolne i sumienne — bo praca kliniczna blagą się opędzić nie da i profesor, który zna doskonale swoich ludzi, napewno dobrze wybiera, aby mieć na kogo się spuścić. Ale w dalszym ciągu — wbrew logice? — nie widzimy już ordynatorek, profesorek?! Mężczyzna widocznie rezerwuje dla siebie stanowiska naczelne.

A praktyka prywatna na mieście?! która znajduje się całkiem w ręku kobiet — do łóżka chorego to matka rodziny wzywa lekarza, jaki w niej budzi zaufanie. Zdawałoby się, że mężczyzna powinienby już zarzucić choroby dziecięce i ginekologię. Pytam się, kto może lepiej znać przedmiot: ten, kto go zna tylko obiektywnie, czy ten, kto go poznał i obiektywnie i subiektywnie? Najlepszy doktor chorób sercowych jest zwykle sam cierpiący na serce. — Suchotnikami byli najslawniejsi doktorzy chorób płucnych. Kto może lepiej przeniknąć dziecko, obejść się z dzieckiem, od tej, która urodziła się matką; pomijam już kwestię wstępu, jaki ma kobieta normalna do leczenia się u ginekologa mężczyzny...

I cóż?... Słyszałam niezliczoną ilość razy ten frazes: „Trzeba być skończoną warjatką, aby powierzać najdroższy skarb życia i zdrowia, Babowskiemu Rozumowi”. O! „babski rozum” co chwila przy każdej zręczności wylatuje z ust kobiecych! Od mężczyzny się tak często tego nie słyszy...

Do kobiet lekarzek ciągnie więc tylko szara biedota, która z musu wyzyskuje ich dobroć... bo lekarka, widząc przed sobą fantomy inteligencji powojennej, zapytana o honorarium, stawia jego cyfrę warunkowo: „jeśli pani może mi tyle zapłacić”.

Dawny lekarz wnosił do domu oprócz wiedzy, coś ze swej misji kapłańskiej, w którą się przyoblekał. Czasy uniwersyteckie wpajały w niego tak wysokie pojęcie o służeniu cierpiącej ludzkości. Był to błogosławiony hipnotyzer, który wprzód nim apteka wydała lekarstwo, działał duchowo na ukojenie chorego i jego otoczenia. Tradycję tą zachowuje dziś już tylko doktor kobieta...

Lekarki polskie mają cudownie zrobiony początek przez Przdownicę, która ich szereg rozpoczęła. Przed myślą moją stanął w tej chwili Cień o wejrzeniu anielskim... i zatrzymuję biegnące pióro, aby Go uczcić duszą skupioną...

Było to jedno z tych cudownych dzieci, których tyle, tyle dała nam najmiłościwsza nasza Małżonka, Litwa ukochana! Była to jedna z tych najrzadszych, które naprawdę „patrzają się na świat oczami i sercem matki, stojąc już na granicy człowieka i anioła”: to była Teresa Ciszkiewiczowa.

Dlaczego nie ma wielkich doktorek praktykantek? Dlaczego nie wyrastają na nie medalistki i asystentki? Bo szerokie społeczeństwo kobiece odmawia im pełnego zaufania. A tylko olbrzymia praktyka, dająca olbrzymie doświadczenie robi wielkiego doktora.

„Dusza niewolnika” wciąż po dawnemu pada na twarz przed panem — tylko słowo, wychodzące z ust jego, jest dla niej objawieniem i wyrocznią.



Mam dotąd jeszcze uszy pełne pisku kobiecego — na jednym z literackich rautów w przedwojennej Warszawie — damy (sama elita) nacierały gwałtownie na jakiegoś spokojnego Pana o czarnej aksamitnej brodzie, którą gładził wypieszczoną, białą ręką, błyskając oczami, jak takie czarne paciorki, które się wszywa włóczkowym kanarkom. Nie mówił ani słowa... One zaś atakowały, suplikowały, męczyły go... aby im coś stanowczego powiedział o „nieśmiertelności duszy”.

— Kto to jest? na miłość boską! — Kto to jest? — chwytam w przelocie którąś za suknię.

— Jakto? — pani nie wie?!

— No — — nie wiem!...

— To jest przecież ten pan z kanтору przewozowego Syrena?!..

— ???!!

— Ach! (gest zniecierpliwienia ręką)... to jest Mag!

— Zrozumiałam... magja siedziała w jego aksamitnej brodzie.

W kilka dni potem zwiedzaliśmy całem towarzystwem wystawę roślin egzotycznych. Brała w tem udział botanistka — podróżniczka, która знаła florę obu półkul świata, a przyłączyła się do nas przez swą wielką uprzejmość. „Może się państwu przydam, jako cicerone”.

Z tej miłej oferty nie skorzystała jednak żadna z uczestniczek. Ktoś burknął pod nosem coś w rodzaju podziękowania... Wolały sylabizować łacińskie nazwy, udając, że coś w tem rozumieją — albo zwracać się o informacje do panów, z których jeden był aktorem, a drugi wykładał na pensjach historię powszechną.

Którażby to chciała publicznie pouczać się czegoś od drugiej kobiety?! przecież — to ubliżenie?

„Ona miałaby być uczeńszą odemnie?!”

Gina Lombroso powiada: „Każda uważa siebie we wszystkim za pierwszą”. (c. d. n.)

R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

4

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Chyba nawet z dzisiejszego stanowiska pedagogicznego nie wiele by się dało Nicollowi zarzucić (ot przesadnie klasyczny program, choć o fizyce, matematyce poważnie myślano, chcąc z młodego księcia uczynić fachowego oficera artylerji). Strona wychowawcza jest bez zarzutu. Starano się o pogłębienie religijne, o wychowanie serca narówni z kształceniem głowy. Zgóry można przypuścić, że Nicollowi zależało na współpracy kulturalnej matki swego wychowanka. Znać to w „zapisce”. To też należy przypuścić, że w dziele nawrócenia księżnej „l'abbé Nicolle” pewne zasługi położył.

Niedługo trwały wychowawcze zabiegi jezuitów. W roku 1822 musieli Rosję opuścić.

Nicolle w Odessie pracował nad organizacją Liceum Richellieugo (miał w nim otrzymać posadę Mickiewicz, ale i tu katolicyzm był przeszkodą).

Już w 1819 r. zwolennicy „Tow. Biblijnego” oskarżyli Nicolla przed carem o propagandę katolicką. Ma się rozumieć, jako konsekwentny katolik, musiał przeciwstawiać się tej protestanckiej robocie. Obronił się przed zarzutami. Ale nie czekając na wypędzenie, sam z Rosji wyjechał. W r. 1821 został rektorem paryskiej Akademii Duchownej († w 1835).

Ks. Wołkońska po wyjeździe Nicolla, przenosi się dla kształcenia jedynaka do stolicy.

„Z Odessy wróciła księżna — pisze Bieliżerskaja — w r. 1819 w wyjątkowo poważnym nastroju. W tym momencie prawdopodobnie przeżywała okres moralnego zmęczenia (?) i przesytu”.

Na dwór nie powróciła. Car Aleksander wtedy stale podróżował po Europie, a jak niektórzy z historyków rosyjskich uważają, uciekał przed Rosją¹⁾.

Powrócił w r. 1821 — „zmęczony życiem” (określenie Metternicha), był u progu psychicznej choroby.

W r. 1818 wyszły w Moskwie cztery francuskie nowele ks. Wołkońskiej: (Quatres nouvelles par la presse Z. Wolkonsky). Dla biografa treść jednej z nich jest symptomatyczną.

Jest to stylizowana autobiografia. Podobno opis postaci Laury jest też autoportretem²⁾.

Laura młodo wychodzi za mąż i wstępuje w świat dotychczas jej nieznan — dworski, który ją zrazu oślepia. Czas pewien żyje w tym wirze. Ale wkrótce rozczarowuje się kompletnie. Rzuca kraj i razem z mężem i przyjacielem uczonym udaje się zagranicę. Tam pochłania ją całkowicie sztuka i nauka. Rodzi się dziecko — następuje przełom duchowy. Instynkt macierzyński powoli wypiera wszystko. Dziecko staje się celem życia i ostoją dla rozczarowanej kobiety.

Inne nowelki — to konwencjonalna już literatura pre romantyczna. Opisy życia ludów dzikich, wolnych.

Pierwszy debiut w Rosji nie powiódł się autorce. Podobnie, jak Laura — autorka wyjeżdża w 1820 r. do ukochanych Włoch, drugiej swej ojczyzny.

I znowu zapełnia się salon wielkiej damy. Inni są teraz w nim goście. Salon Wołkońskiej w Rzymie staje się centrum dla artystycznej rodziny. Przeważają teraz malarze: De Bruni, Briulow, Basin, Szczedrin, a z zagranicznych: Horacjusz Vernet, Cannowa, Thorvaldsen. Przejściowo, w 1822 roku — znowu staje w szeregach świty cesarskiej. W Veronie na kongresie dyplomacji zmieniają artystów.

A potem... Znowu rozczarowania, okres skupienia, praca nad sobą i synem. Nową jej pasją — to archeologia. Pracuje poważnie pod kierownictwem uczonego Meriana, autora znanej podówczas: „Principe de l'étude comparative des langues”. Otoczenie dworskie szydzi z uczonej freuliny. W obronie jej

staje przyjaciel ojca ks. Kozłowski. Pociesza ją pisząc:

„Nasza t. zw. sfera wyższa to przecież zjawisko wyraźnie ujemne. Niema w niem nic wzniosłego, czy wybitnego. Muzyka nie jest dla głuchych, prawdziwa nauka — dla pysznych, lekkomyślnych, kpiących. Można ich żałować, ale chyba bardzo trudno z tych braków uleczyć.

Niech Pani, dla swych przyjaciół chroni to źródło, któremu danem jest odnawiać i ożywiać wszystko, z czem się styka.”

Owocem dwuletniej pracy — był utwór wydany znowu w Paryżu p. t. „Tableaux Slaves de cinquième siècle”, Paris 1824, bez podpisu. Utwór był przyjęty bardzo życzliwie. Pojawiły się krytyki w „Revue Encyclopédique” (1824 t XXII), w „Gazette de France”.

W 1826 wyszło polskie tłumaczenie p. t. „Ladowid i Miliada”³⁾.

W tym utworze spotykamy się z ulubionym motywem ks. Wołkońskiej — zbawczym działaniem instynktu macierzyńskiego. Ladowid jest synem kniazia jednego z osiadłych plemion słowiańskich. Powinien już wybrać sobie z pośród rodaczek żonę.

Nie podobają mu się wszystkie. Razi go w nich to, że są bezwolne, niewolnicze. Razu pewnego znajduje się przypadkowo w gromadzie kobiet leśnych. Przybyły z puszczy na walny słowiański obrzęd religijny. Oczarowały młodzieńca. Gdy zabrały się do odejścia, śpieszy ukryty, w ślad za nimi. Gdzieś w lesie świadkiem jest wojennej rozprawy między niewiastami. Staje w obronie jednej z nich. Broni ją przed niechybną śmiercią. Wdzięczna Miliada (takie jest imię obro-nionej), pozwala się nakłonić — do wspólnego życia. Wracają do ojczyzny Ladowida. Rodzina próbuje ją wychować, ucywilizować. Nie udają się próby. Miliada ucieka. Nudzi ją osiadłe życie, praca na roli i w domu. Woli nadal uganiać się bez krępujących ją szat po kniejach za zwierzyną. W nocy ucieka Ladowid po raz drugi, podąża w knieje. Z kolei on teraz jest ofiarą wojowniczych kobiet. Rannego odnajduje Miliada. Pielęguje troskliwie odnalezione-go męża. Powraca z nim teraz dobrowolnie, a gdy rodzi się dziec-

¹⁾ Porównaj Firsov: „Duszewnaja drama Aleksandra I” — Szilder, „Imp. Aleksander I” — Mereżkowski.

²⁾ Do szkicu naszego: „Moskiewscy filomaci” „Przegląd Warszawski” 1925, luty, dodaliśmy kopję ślicznej minjatury Isabey'a. — Najprawdopodobniej robiona była w tym czasie (1820).

³⁾ Dzieło to znajduje się w Bibliotece Krasińskich w Warszawie. Wspomniano o niem u Estreichera.

ko — następuje przełom psychiczny — Miliada zmienia się zupełnie. Staje się człowiekiem osiadłym, rodzinnym.

Miliada, według autorki, ma być protoplastką rodu, który po wiekach ma założyć Kijów.

W r. 1824 ks. Wołkońska na stałe przenosi się do Moskwy, do pałacu na Twerskiej. Tam dopiero znajduje odpowiednie dla siebie środowisko, czy sama go sobie stwarza. Zakłada salon literacki. Staje się on wkrótce ośrodkiem zwyciężającego wówczas romantyzmu rosyjskiego.

Skupia wokół siebie literacką młodzież: filozofów, poetów, malarzy, aktorów. Tym salonem zajęliśmy się specjalnie w szkicu o „Moskiewskich filomatach”.

Dla życia kulturalnego Rosji XIX stulecia ten salon, prosperujący w szczytówym lat pięć (1824—1829), miał nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Stał się źródłem, z którego wy-

trysły ożywcze dla kultury prądy. Tam narodzili się niejako Słowianofile tam też obóz romantyczny posiadał niejako lokal sztabowy.

Życie księżnej, mimo pozorów szczęścia i wesela, zaczęło wtedy obfitować w przeżycia ciężkie i doświadczenia. Zbliżał się przecież czas próby — okres religijnego nawrócenia. W r. 1825 umiera car Aleksander I. Umiera w Taganrogu, do którego uciekł przed udręką burz wewnętrznych. Złamało go



życie i wielkie pomysły, dla których realizacji nie miał ani geniuszu potrzebnego, ani pokory wykonawcy. Ostatnie lata był — właściwie mówiąc — zamroczeniem, jakąś długotrwałą paniką przed nieznanym.

Uciekł od świata, uciekł z tronu, chcąc w ciszy klasztornej zakończyć burzliwe życie. Rozczarowany kompletnie, dręczony wyrzutami sumienia (zabójstwo ojca).

Na Wołkońską śmierć cara — przyjaciela bardzo silnie podziałała. Píše o swych wrażeniach uczonemu Merianowi.

„Jak opisać to, com czuła, gdy stała u progu kaplicy żałobnej i zobaczyłam w mroku zbliżający się pochód z Taganrogu. Straszny był to obraz dla mnie, która zaliczałam się do szczęśliwych, mogących wiedzieć co pewien czas jego karę podróżną, zatrzymującą się u swego progu.”

(c. d. n.)

HELENA BOGUSZEWSKA

W KRAJU PRACY

1

PIERWSZY DZIEŃ W KOPENHADZE

Chodzę sobie i chodzę po tych ulicach Kopenhagi, takich czystych, gładkich i wyszlizganych, że aż mam ochotę schylić się i dotknąć ręką lśniącego asfaltu jezdni: czy naprawdę jest taki gładki i wypolerowany, jak lustro?

Suną samochody, powoli, bez pośpiechu. Nikt na nikogo nie najeżdża, nikt przed niczem nie umyka, nic nikomu nie grozi. Przesuwa mi się przed oczami wizja piekielnego zgiełku, ścisiku i tłoku około dworca Głównego w Warszawie; tam zdaje się człowiekowi, że już chyba z życiem nie ujdzie: umknął z pod tramwaju, wpadł pod dorożkę, a tu już najeżdża ryczący samochód, pędzi, jak strzała... A wszystko się śpieszy, napastliwie i groźnie...

Tu natomiast nikt się nie śpieszy. Każdy ma czas obliczony bez pośpiechu. Niema ofensywy na nadchodzący tramwaj, wsłucha się spokojnie, nikt się nie pcha. Niema nastroju ciągłego zdobywania i walki. Sunie korowód rowerzystów, jadą sobie powoli brzegiem jezdni: dzieci, kobiety młode i niemłode, chłopcy z koszykami, z paczkami. Ruchem ręki wskazują w którą stronę zamierzają skręcić. Mijają

przechodnie o twarzach spokojnych i dobrych: tak uprzejmie i cierpliwie wysłuchują moich pytań, i wskazują mi kierunek, gdy potwornym akcentem wymawiam jedynę moje duńskie słowa, moźolnie wykute z podręcznika: „Vil De vaere saa venlig og vise mig Vejen til Kongerej”?

Czuję się bezpieczną wśród tych nieznanych, a życzliwych, kulturalnych ludzi. Kobiety ładne, tak miło i skromnie odziane, nie tak wystrojone, jak warszawianki, ale wszystkie w dobrym stylu. Wogóle wszyscy przechodnie porządnie, dobrze ubrani. I nagle refleksja! Że też wcześniej tego nie zauważyłam! Przecież tyle ulic już przewędrowałam: minęłam te stare, koło portu, i te z wąskimi kamienicami nad kanałem, i te wspaniałe koło Ratusza — a dotąd nie spotkałam ani jednego obdartusa, ani jednego zamorusanego i oberwanego dziecka, ani jednego żebraka! Słyszycie? Tyle już godzin wędruję po tej Kopenhadze, i nie widziałam ani jednego żebraka! A u nas, na Marszałkowskiej, pomiędzy dworcem np. a placem Zbawiciela...

Zapada zmierzch. Zapalają światła: latarnie na ulicy, lampy po sklepach. Całe mnóstwo światel, całe potoki jasności. W wyszlizganej, gładkiej, wypolerowanej po-

wierzchni jezdni światła przeglądają się, jak w zwierciadle. Nie, już teraz chyba nie wytrzymam: muszę schylić się i dotknąć ręką, spróbować, czy naprawdę taka gładka, jak się zdaje?

Mijam Tivoli, czarodziejski ogród radości. Tu jasność leje się wprost z lekkich, wesołych, zalotnych pawilonów, obwieszonych koronkami światełek. Festony, girlandy świetlne, czarodziejskie bukiety z różnokolorowej jasności, wykwitające z gąszczu drzew. Co tu uciech! Tu teatr z kurtyną jak pawie ogon, tam koncert, tu dancing; to znowu strzelnice, ruletki, loterie, losy szczęścia, wagoniki, ciągnięte przez zięjącego ogniem smoka, wiozą w bajeczne kraje, kolejka leci ze sztucznej skały na łeb na szyję, kręcą się karuzele. Po czarnym stawie płyną oświetlone tratwy, jakieś indyjskie chatki. Szumią wodospady, jarzą się światłem tajemnicze grotty, w akwarjum pływają dziwaczne ryby, sarny wyciągają głowy przez ogrodzenie, z ręki jeżdżą chleb... A wszędzie światła, światła, światła! Nie, ja już nie mogę, już nie mam siły nic więcej oglądać. Pójdę do mego „hoteletu” na Kongerej, po drodze jeszcze z dziesięć razy spytam o drogę. Muszę odpocząć — przecież to dopiero dziś, dziś rano kochany

Niels Ebbeten przywiozł nas tu, skołatanych ponuremi przeżyciami morskimi w podróży przez okropny Bałtyk; przywiozł nas do tego błogosławionego miasta, gdzie przez cały dzień nie widzieliśmy ani jednego żebraka, i ani jednego „ubogiego”. Zobaczmy co będzie dalej!

DRUGI DZIEŃ W KOPENHADZE

Siedzę w „Glyptotece”, w środkowej części gmachu, pod olbrzymią kopułą szklaną, skąd spływa łagodne światło. Jakieś czerwone i złote ryby pluskają w basenie, przemykają się wśród wodnych roślin; z wody wyrasta marmurowa olbrzymia kobieta, otoczona dziećmi, wszędzie ich pełno, tych malutkich, marmurowych dzieci, tulą się do niej, śpią na niej, wdrapują się na nią, jeden, taki malutki człowieczek stoi w zgięciu łokcia jej podniesionej ręki, a ona przygląda mu się spokojnie i uważnie.

Rzeźby i posągi bielą się w gąszczu olbrzymich palm i araukarii.

Jest tak ślicznie, że aż robi się smutno. Siedzę sobie na ławce, tuż koło kamiennego brzegu basenu. Towarzyszka mojej podróży wędruje wśród palm od rzeźby do rzeźby, stąpając cicho po mozaikowej posadzce.

Zbliża się do mnie.

— Już teraz wiem — oznajmia szeptem — dlaczego Duńczycy zachowują się tak cicho i tak cicho mówią. Oni uczą się tego w tych swoich pałacach sztuki.

Nie wiem, czy ona ma rację. Ale to wiem, że widziałam w Muzeum Sztuki, jeszcze może większem od Glyptoteki, ogorzałych fermerów, którzy najwyraźniej przyszli tam wprost z dworca kolei, z walizkami w rękach. Zostawili walizki w przechowalni i poszli w głąb olbrzymich sal, stąpając, jak w kościele.

Zwiedziłam Muzeum Thorvaldse-na, wyglądające z zewnątrz jak wielki ciężki, sześcioboczny sarko-



fag, pokryty malowidłami, wewnątrz pełen wspaniałych, gigantycznych rzeźb. W samym środku prostokątny mały dziedziniec, z grządką kwitnących róż — to grób Thorvaldsena.

I wiele innych jeszcze muzeów: historyczne, ludowe, i już sama nie pamiętam jakie, choć były mądre i bogate, jak zresztą wszystko w Danii. Ale Muzeum Ludowego w Lyngby (pod Kopenhagą) to chyba nigdy nie zapomnę: oto zamiast różnych przedmiotów z różnych epok, natłoczonych w wielkich salach, ujrzałam w prześlicznym, ogromnym parku rozsypane sadyby ludzkie z różnych czasów. Prawdziwe sadyby ludzkie, lepianki, ziemianki, chaty, domki z ogniskiem, kociołkiem, garnkami, zydawkami, łózkami w murze, z szynkami i półciami słoniny, wędzającymi się w dymie nad wygasłym ogniskiem! Całe obejście: chlewek, stodoła, studnia, dół na ziemniaki i narzędzia rolnicze, podówczas używane, każde na swoim miejscu. Wszystko jakby czekało na gospodarza. Żywa historia! Tylko tych dawnych ludzi brak.

Ale zato nowi ludzie w Danii są nadzwyczaj przyjemni: gościnni, uprzejmi, kulturalni, cisi, przyjaźnie uśmiechnięci. A żebraka ani poświeć, choć już drugi dzień upłynął nam na ulicach szczęśliwego miasta!



PAWEŁ WINIKOWIECKI STRACH



Coraz to słabsze kroki oddalającej się warty zacięły wreszcie zupełnie i szeregowy Krawczyk został sam w ciemności na mostku, o którym od paru dni w kompanii tak dziwne opowiadano rzeczy. To też, by dodać sobie otuchy, starał się przypomnieć, jak mostek wyglądał we dnie t. j. w ostatnią niedzielę, kiedy to Krawczykowi w tym miejscu dzienna wypadła była zmiana. Nie wiedział jeszcze wtedy nic o tych strachach i dziwach, o których posłyszał dopiero wczoraj, i mostek wydał mu się być jak wszystkie na Ukrainie mostki: drewniane, przegniły, pełen dziur zdradzieckich dla koni i ludzi. Ale Krawczyk czuł się rześki i radosny w ów niedzielny majowy poranek. Z karabinem przez ramię, space-

rując tam i z powrotem po mostku, przyglądał się dorodnym ogorzałym ukraińskim dziewczynom, które śmiały go obrzucały spojrzeniem, przypatrywał się brodatym, w grubych kaftanach chłopom, poganiającym na jego widok żwawiej drobne koniki; a pod wieczór, gdy wszystko ścichło, z lubością wchłaniał ciepłe wiosenne powietrze, zapachy drzew i kwiatów.

I teraz, wpatrując się w ciemność nocy, usiłował odtworzyć to, co widział wtedy we dnie. Pod mostkiem, wijąc się pracowicie w gliniastych brzegach, płynął strumyk i gdzieś tam dalej wsiąkał do stawu. Wzdłuż strumyka z jednej strony ciągnął się żdziczały stary ogród, powyłamywanym otoczony parkanem, z drugiej — szeregiem stało

kilka domków, wśród bżów kwitnących i rosochatych jabłoni. Jeden z tych domków stał tuż przy mostku: zza chróścianego płotu, obrosłego pędami licjum i pokrzywą, teraz na tle ciemnego nieba widział tylko czarny dach słomiany i wkleśły komin. Z tego to domku, w którym wszystko zdawało się teraz martwe, wyszła owa dziwna i niepokojąca opowieść. Gdyby tam błysło chociaż jakie światło, gdyby kto wyszedł, zagadał, możnaby się czego dowiedzieć, bo być może — wszystko to wymysł i bajka, mało to takich krąży... Zaczął więc Krawczyk głośno pogwizdywać i butami po mostku przytupywać. Ale nikt nie wyszedł, nikt się nie odezwał i noc, choć ciepła i cicha, ciemna była i nieprzenikniona.

Krawczyk stanął i nasłuchiwał. I nagle to, o czym nie chciał myśleć, co odpychał, przedstawiło mu się wyraźnie. Kiedy przed kilkoma dniami stał tu w nocy na warcie szeregowy Dudek, wyszedł z tego najbliższego domku człowiek, mówiący po polsku, i tak słowo po słowie opowiedział mu, prosząc o dochowanie tajemnicy, co się tu koło tego miejsca w zimie działo: — W miasteczku byli bolszewicy. Pewnego dnia przywiedli oni z frontu zaskoczony gdzieś ruchomy szpital polowy: siostra, felczer i kilku chorych żołnierzy. Naznęczawszy się nad nimi, w nocy przeprowadzili przez mostek i nad stawem rozstrzelali. Ciała zagrzebali przy niezamierzającym nigdy oparzelisku, gdzie ptactwo wędrownie zimowało a w mroźne noce wznosi się tuman biały, gęstniejący niekiedy w dziwne ludzkie kształty. I oto z oparzeliska tego, czy skądinąd, bo nikt dobrze nie wie, w ciche ciemne noce wstają tamci pobici — przodem, cicho płacząc, w białym fartuchu idzie kobieta, za nią, niby pokutnicy, w koszulach tylko i boso, tak jak ich na śmierć prowadzono, postępują żołnierze. Podchodzą mostek brzegiem rzeczki, okrążają miasteczko i idą polem, do swoich pewno, bo się w świetle północnej rozplywają gwiazdy. Z tamtej strony miasteczka nikt ich nie widział, ale tu — bardzo wielu: i on ów człowiek z dworku, i sąsiedzi. Wysłuchał tego szeregowy Dudek, stał całą noc na mostku i czy widział to, o czym mu ów człowiek opowiadał, czy nie widział, ale na rano, gdy zmieniano wartę, plutonowy sądził, że Dudek był pijany. Jako pijanemu nie broniono mu co chciał gadać, ale kiedy zrozumiano, że Dudek nie był pijany, lecz oszalał, odesłano go do szpitala na tyły. I teraz trudno było prawdy dociec, bo jedni, jak plutonowy, śmiejąc się mówili, że Dudek złakł się psa i oszalał, drudzy — że wypił ziej wódki, inni wreszcie, że dostał gorączki. A i człowieka z dworku nikt więcej nie widział.

— Eh! psiakrew! — zaklął Krawczyk i miarowym, rozkiwującym się krokiem sztyldwacha poszedł tam i z powrotem po mostku.

Noc była wciąż tak samo cicha, ale wszystko, co we dnie żyło, zdawało się nie odpoczywać, lecz tylko przytębiać, zacichać. Krawczyk starał się znów przypomnieć sobie, jak było w niedzielę: oto tam nad rzeczka, wpół zanurzona w mule, dziurawa niebieska leżała miska, dalej kawał wykręconej podeszwy, a tam przy zwałonym parkanie pod klonem leśne przytuliły się kwiateczki — listeczki szafirowe i żółte między niemi pyszczki, takie same

jak pod Kielcami... Ale kwiatki i Kielce zapadały gdzieś w ciemność i martwa zalała je cisza.

— Czemu to słowik dziś nie śpiewa — pomyślał Krawczyk. Słyszał go przecież tamtej nocy w klombie, niemal w środku miasteczka.

I jak gdyby wywołany tem jego życzeniem niepewnie, żółśnie westchnął słowik, zawahał się, poczekał i, na nic niepomny, pełnym zachwytu zaniósł się trelem, ale nie skończył go, urwał krótko i zamilkł. Przystanął Krawczyk na mostku i czekał, ale słowik nie zaśpiewał więcej.

— Czyżby do licha zobaczył coś, czego ja nie widzę? — pomyślał, niespokojnie wpatrując się w ciemność. — Czy tchórz mię obleciał, czy co, do pioruna! — zaklął głośno i, tupiąc nogami, poszedł po mostku. — On tchórz? Czyż nie uciekł matce i majstrowi na wojnę? Czyż się nie bił? Czyż puścił osłizły krwią karabin, kiedy rubelszewska kula dłoń przeszyła? Podchodził i strzelał, podchodził i strzelał, choć już i z prawa i z lewa nie było przy nim nikogo. A zresztą czem się tam ma przejmować: mało to naszych zamęczyli bolszewicy? Mielby też wszyscy dziś przyjść do niego. Mało ich widział zabitych, zamęczonych? Nie dalej jak przed tygodniem, gdy z Dudkiem kulomioty podwozili, widzieli w pociągu dwie siostry przez bolszewików zhańbione. Choć tam od wagonu, w którym siedziały, wszystkich pędzili, przecież zaszeli, co tam było: na ławce skulone leżało ciało kobiece, z głową przykrytą żołnierskim płaszczem; naprzeciw leżącej siedziała druga z rądkami potarganymi włosami, z twarzą pobitą i obrzękłą; jedno oko zamknięte, drugie podpuchłe, strwożone i czujne, jak dzikie zwierzątko zerknęło ku nim i wołało się w ich twarze. Odkoczyli od okna i po sobie spojrzeli: jedne ich ogarnęły myśli i jedna, od szeregu wojennych miesięcy nieznana, ogarnęła litość. Pobiegli wnet za dworzec, kupili flaszkę mleka i bułkę, i zabrawszy gazetę od wystraszonego cywila, który się z walizką między żołnierzy wplątał, zawinęli flaszkę i bułkę i, gdy nikt nie widział, ku oknu się podkradli. Czujne oko na zbrzękłej twarzy zerknęło ku nim, szybko wyciągnęła się chuda ręka, złapała podany zwitek, a na podziękowanie rozkleiły się zeschłe wargi i coś ni to szept, ni to syknięcie — z krwawych wyszło dziaśel.

— Do djabła! — zaklął głośno Krawczyk, odrzucając karabin. — Dałby im, tym bydlakom, gdyby ich dopadł, dźgałby bagnetem, kopał,

walił kolbą między ślepie... A gdyby tak siostra Felisia dostała się w ich ręce? Ne, to niemożliwe. Cośby się stać musiało takiego, że do tegoby nie doszło. A gdyby doszło?...

Nagle najwyraźniej, bez żadnej wątpliwości, westchnęło coś w chrześciany dokoła zagrody płocie. Krawczyk znieruchomiał w zdumieniu, za którym tuż tuż czaiła się trwoga. Strząsnął ją jednak odważnie i z całą pasją uderzył butem w chrześciany płot. Z drugiego końca podwórka zerwał się pies i z wściekłym ujadaniem przypadł do płotu, wsparł się łapami, rwał go i gryzł zębami. Kołysał Krawczyk raz i drugi w płot nogą i nagle pies ucichł, urwał, znikł jak pod ziemię. Stał tedy i jał nasłuchiwać. Słuchał, czy nie skrzypną gdzie drzwi lub okno, czy nie załci odgłos czyjegś stąpania. Ale ciemna nieruchoma noc stała dokoła cicha i ciepła, ni to mdlenie jakieś, ni to dziwne na coś wyczekiwanie.

Wrócił więc Krawczyk na mostek i chodząc zaczął tam i z powrotem, kołysząc niepokój miarowym równym krokiem sztyldwacha. Ale niepokój przyichł tylko, lecz nie odchodził. Ach, o czym to myślał przed chwilą?.. O siostrze Felisi. I z radością, która wyparła trwożę, pograżył się w niedawne wspomnienie: — Kiedy z przestreloną ręką odesłano go z frontu do szpitala, pierwszego patrolunku dokonała mu smukła pielęgniarka w białej chusteczce, z pod której uważnie patrzyły duże oczy. Ruchy tej siostry były powolne, pewne, a głos cichy. Krawczyk od razu nabrał przekonania, że opatrunek, który mu zrobiła, był dobry i napewno skuteczny; ucieszył się też bardzo, gdy salę, którą mu wskazano, owa siostra obsługiwała. Z radością witał jej wejście, śledził wszystkie jej na sali czynności i poruszenia. Doktor zaś zniechęcił od razu. Doktor był niski, z krzywym nogami, obutymi w błyszczące z ostrogami buty, mówił szybko, niemal bełkotał, trzęsąc rudawą bródką. Nie lubił go Krawczyk i za trzywe nogi, i za wyglancowane buty, i za bródkę, a najwięcej za to, że jak mu się zdawało, dokuczał siostrze Felisi. Co jej półgłosem mówił, gdy od łóżka do łóżka obchodzili salę, nie wiedział; to pewne jednak, że gdy kończyli ten obchód, na policzki siostry ceglaste występowały rumieńce, a oczy jej nie podnosiły się wcale. Zupełnie co innego, gdy była z nimi sama: każdemu coś powiedziała, siadała na stołkach pomiędzy łózkami, pisała listy, podpowiadała, co mają pisać, jak gdyby wiedziała o wszystkim, co zo-

stawili w domu. A jednak, myślał Krawczyk, nie z chłopskiej znać wyszła Felisia chałupy, ani nawet z pokoju o dwu wysoko wysłanych łózkach pani majstrowej, jeno skądś indziej, skądś z wysoka. Gdy terminował u szewca, od którego uciekł, u majstrowej nad komodą wisiał obraz cały błękitny: schodziła tam na nim po szerokich schodach do wody kobieta w białym płaszczu i białym zawoju, a pod spodem był napis: Wenecja w nocy. Przez czas terminowania myślał zawsze Krawczyk, że owa schodząca do wody kobieta nazywa się Wenecja; dopiero przed samą ucieczką na wieczorowych kursach dla rzemieślniczej czeladzi dowiedział się, że jest takie miasto na świecie, gdzie między domami zamiast ulic płynie woda. A kobieta? To może właśnie była Felisia...

Wpatrzony w obraz nad komodą szewcowej, który się tej nocy niby zlał z siostrą Felisią, chodził niepomny strachów Krawczyk tam i z powrotem po moście. A wśród głębokiej ciszy i nieprzeniknionych ciemności — czy to za Wenecją, czy za Felisią — westchnął słowik, załkał, słodką wypowiedział skargę, jeszcze raz ją powtórzył i urwał.

Przystanął Krawczyk i słuchał, a gdy słowik urwał i nie odezwał się już więcej, wydało mu się, że coś dla niego urwało się, zapadło i nie wróci. Została jeno cisza, ciemność i niepokój.

Nagle w płocie, skąd się wyrwało było westchnienie, zaszemrało coś, chrzęstło i opadło na ziemię.

— Musiałem tam cościć odłamać, pomyślał Krawczyk.

Ale gdy się miejsu temu dłużej zaczął przyglądać, ciemność jakby zgęstniała tam i, bez widomych granic i kształtów, posunęła się wzdłuż płotu, okrążyła go i bez szmeru znikła.

— Ani pies, ani kot, ani człowiek — patrzył w przerażeniu Krawczyk. — Jakiś ciś czarci poseł. Zaraz tu pewno tamtych sprowadzi.

I cicho, tłumiąc kroki, poszedł po mostku. Złość zagrała mu w sercu. Czemu tu u licha stoi! Wiadomo, że nikt tu ani z armatą, ani nawet z karabinem nie przyjdzie. Złe duchy mam tu odżegnywać, czy co u licha. Gdybym tak poszedł i spać się zaważył, albo wprost zbudził tego czarnoksiężnika, co mieszka



w tej chacie, i przyłożywszy karabin kazał odszukać wszystko, co rozgadał, przynajmniej wiedziałbym, co i jak.

Ale zaledwie to pomyślał, gdy z daleka w ulicy rozległy się człapiące jakieś kroki. Krawczyk w okamgnieniu zdjął z ramienia karabin i chwycił go w ręce. Kroki zbliżały się i były osobliwe: trzy cztery cichsze, jakby przyspieszone, jakby opadające, i znów jeden z drugiej nogi — głośny, przytupnięty. Włosy powstały Krawczykowi na głowie. Coby to być mogło? Jakiby kształt miało, jaki głos? Oczy? Czy może to jest to ciemne, co sunęło pod płotem? Ścisnął karabin i czekał. A tamto, nie śpiesząc, zbliżało się i zbliżało... Wreszcie słychać było, że zaczęło sapać, coś mruścić, dziwny krok mącić, utykać...

Nagle radość rozjaśniła serce Krawczyka: — Przecież to pijany! Dopuszczał go bliżej do siebie, a gdy wyraźnie już zarysował się niezgrabny kształt luźki w kaftanie i słomianym kapeluszu, niemal ze śmiechem krzyknął:

— Stój, bo strzele!

Tamten stanął, zachwiał się na nogach, chciał znów naprzód postąpić, znów zachwiał się, potem zabawnym niedźwiedzim ruchem zawrócił i, łapiąc ziemię nogami, zaczął uciekać. Biegł tak łomocąc, wreszcie zapadł gdzieś i zaciął.

— Czy też gdzie daleko się przewrócił? — myślał Krawczyk, bo chciało mu się bardzo, aby leżał gdzieś niedaleko.

Ale tamten czy oprzytomniał ze strachu i chyłkiem się oddalił, czy ukucnął gdzie i czekał, ale już go więcej nie było słychać. I znów zapadło wszystko w niepokojącą ciszę, w niewiadomość, w oczekiwanie.

Zmęczony Krawczyk nie mógł sobie już nic przypomnieć, o niczem nie mógł myśleć i czekał już tylko jakiejś rzeczy niebawem, niezwykłej. A gdyby tak raz, drugi i trzeci. Trzymał jednak siebie

jeszcze na wodzy a po mostku chodził niby pomiędzy dwiema ścianami, których przejść nie wolno. I naraż w tej pustce, między temi nie przebytymi ścianami, zarysował się jasno widok tamtych pobitych, idących ku niemu: oto idą, wnet go otoczą, bielejąca fartuchem kobieta cichutko załka nad jego ramieniem, a tamci otrą się o niego niewiadomem dotknięciem.

Krawczyk wolno doszedł do końca mostku i nie śmiał już wrócić: są tuż za nim, czekają. Słuchał nie tylko uszami, ale całym ciałem, skórą, czekał nieznanego na plecach dotknięcia, niewiadomego przy twarzy oddechu. Stał tak długo zrazu w strasznym oczekiwaniu, potem w zupełnym zapomnieniu. Wreszcie bezwiednie się obrócił: ta sama cisza niczem nienaruszona i ta sama ciemność.

— Może naprawdę już tu byli, tylko się nie spostrzegł — przemknęło mu nagle. — A może oni tu są, ino ich nie widzę, a oni wciąż chodzą za mną. Chodzą, gdy idę w jedną stronę, i jako te duchy bez ciała, przelatują za mną, gdy wracam...

I chodził tak Krawczyk, ciągnąc za sobą ów strach niewidzialny i zwiewny, tam i z powrotem, wreszcie zmęczony stanął i spuścił głowę.

Tymczasem, niby po śnie czy po niemocy w słabym oddechu drgnęły na drzewach liście, zachwiała się okrągła głowa lipy, a od dołu poprzez ciemne pnienie drzew rozszepkały się matowe ciemności. Krawczyk stał wciąż z głową zwieszoną. Gdzieś w dalekiej, jakby zaświatowej dlań krainie, zapiał kogut, zatrzepotały nad głową skrzydła zbudzonego ptaka...

Postukując rażno podkutemi butami, coraz wyraźniej zbliżała się na zmianę warta. Ale Krawczyk nie odwrócił się nawet, nie poprawił karabinu, nie odpowiedział na apel. Gdy go zabrano i odprowadzono do szpitala, doktor zapytał:

— Gdzieś stał tej nocy?

— Na mostku.

— Gryzły cię komary?

— Nie.

— Napewno gryzły.

— Może i gryzły — zgodził się.

— To już czwarty z malarją. Zero koma osiem chininy trzy razy na dzień — rzekł do siostry.



KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

20

Mathiessenowie spędzali część roku na wsi. Była tam cisza i samotność „sercu smutnemu tak przyzwoite.” Mała Pammy chowała się zdrowo. „Równie śliczna, jak dobra” dziewczynka przypominała tak bardzo ojca, zwłaszcza z łagodnego wyrazu oczu i wesołego uśmiechu, że biednej matce łzy napływały do oczu, gdy na nią patrzyła.

Ale powoli boleść jej łagodniała, postać „kochanego A iola” (jak zwała nieboszczyka cała rodzina), błękitniała i osnuwała się aureolą bohaterstwa i męczeństwa.

Najmniejszy drobiazg, będący pamiątką po zmarłym, stawał się relikwią.

Posyłam wam dwie bransolety z włosów mego ukochanego — sobie zostawiłam jedną. Mam również dla Mamy i dla Cecylii pierścionki, zrobione z łańcuszka, który On nosił zawsze na swojej kochanej szyi, a z którego zostawiam sobie resztę dla siebie i dla mojej małej Pameli. Zofii posłałam przez Henryka inną relikwię — jest to medaljon, który Edward nosił przez dłuższy czas, a w którym są jego włosy. Wryte były na nim słowa: *I have a silent sorrow here*, będące pierwszym wierszem smutnej piosenki Sheridana: był to dar biednej pani Elżbiety.

Pociecha, jaką dawała matce starsza córeczka, mieszała się w jej sercu z tęsknotą za temi porzuconymi w Anglii dziećmi, a ta tęsknota, zamiast zmniejszać się, rosła z dniem każdym.

„Droga moja siostró, — prosiła Łucji — mów synowi mojemu o mnie. Och, powiedz mu, jak bardzo kocham go, i że jestem dobrą matką... Niestety, żal, mi że, jak mi mówicie, babka psuje tak miły charakter przez zbytne pieszczoty i przygotowuje mu w przyszłości wielkie smutki, oszczędzając mu zbyt wiele wszelkiej przykrości teraz, dziwna rzecz, że tak mądra osoba nie myśli o tem... Zaklinam cię w imię miłości, jaką masz dla mnie i dla mego dziecka, wpływaj na mamę... Ja nie mogę pisać jej o tem. Mogłaby się pogniewać, a jesteśmy tak daleko, że długoby trwało, nimby mi przebaczyła.

„*L'absence double tous les maux*!” — powtarza cytat

ze swojej ulubionej bajki o gołębiach.

„Kiedy myślę o słodyczach, których los mnie pozbawił, nie mogę leż powstrzymać i płaczę sama nad swoim losem, nad tem, że Bóg wie, kiedy was wszystkich zobaczę... A jednak trzeba, aby serce moje zaharowało się. Był przedmiot miłości mojej, którego nigdy już nie zobaczę, a który po to tylko na świat przyszedł, aby cierpieć i żal pozostawić za sobą.”

* * *

Wróciwszy na zime do Hamburga, wdowa po Fitz Geraldzie znalazła się nagle w otoczeniu rodaków, przyjaciół i wielbicieli swego ukochanego zmarłego. Niedobitki Zjednoczonych Irlandczyków, ci co szczęśliwie uniknęli śmierci lub więzienia, skupili się w tym portowym mieście, które zawsze było przytuliskiem emigrantów różnych narodów. Wśród tych ludzi smutnych, rozczarowanych, wyróżniał się werwą i wymową adwokat z Ulsteru: Samuel Turner. Zrazu sprawiała Pamelę bolesną rozkosz słyszeć z jego wymownych ust entuzjastyczne pochwały nieboszczyka. Niebawem jednak tyste jej oczy dostrzegły w spojrzeniu młodego człowieka ten sam błysk żądz, który ją niegdyś przeraził i znów cofnęła się przed nim z odruchowym uczuciem wstrętu. Cudowny instynkt ustrzegł ją od potwornej rzeczy: Judasz chciał w istocie wystąpić w roli pocieszyciela młodej wdowy, a nawet zdecydowanego konkurenta. Z perfidią sobie właściwą postarał się, że wieści podobne dostały się aż do Anglii. Lady Sarah, mądra, dumna i znająca ludzi kobieta, która wiecznie broniła Pameli, widząc w niej „charakter,” odparła z oburzeniem tę plotkę w liście do przyjaciółki:

„Jeśli usłyszycie przy adkiem kłamstwo, rozpuszczane z rozmyśłem, aby oczernić biedną lady Edwardową, proszę, abyście zaprzeczyli temu, bo jej ani w głowie wychodzić drugi raz zamaż. Smutek jedynie jest jej towarzyszem.”

* * *

Turner nie tracił czasu w Hamburgu, ofiarowując swe „pokorne

usługi” wdowie uwielbianego wozdza, z drugiej strony pracował niezmordowanie na rzecz „Foreign office” w Londynie i udało mu się dokonać nielada dzieła. Gdy jeden z nielicznych już przewodców irlandzkich, stary pułkownik Napper Tandy przybył do Hamburga na jedną tylko dobę, szpieg zawiadomił swoje władze. Senat Hamburski zastraszone groźbą Anglii, do której przyłączył się, niewiedząco z jakiej racji nacisk Rosji, wydał zbiega Anglikom. (Zapłacił drogo za swe tchórzostwo, gdyż pierwszy konsul nałożył na miasto cztery i pół miliona franków za wydanie poddanego francuskiego, gdyż ten irlandczyk otrzymał obywatelstwo Rzeczypospolitej).

Na proces Napper Tandy'ego, który się odbył na wiosnę r. 1800, przyjechał do Dublina sir James Crawford, poseł angielski w Hamburgu i spotkawszy się z rodziną Fitz Geraldów, nie szczędził słów pochwały dla pięknej wdowy, której zachowanie pełne godności i taktu, zyskuje ogólne uznanie. „Ma pełno admiratorów, ale nie zdaje się, aby kogoś wyróżniała.”

„Trudnoby znaleźć kogoś godnego jej” — odpowiadała dobra lady Luiza.

A jednak w tym samym roku 1800 Pamela pisała do wiernej zawsze Zofii, która jedna nieustanną korespondencją podtrzymywała rwące się już nieco stosunki. „Moja przyjaciółko, moja dobra siostró! wiesz już, że w losie moim ma zajść zmiana, powiedz, że nie ganiecie mego kroku i że zostanie zawsze waszą siostrą. Serce mi się ściska i jestem bardzo smutna.”

Co spowodowało decyzję młodej wdowy? Nie uczucie, gdyż wybrany jej, p. Pitcairn, konsul Stanów Zjednoczonych w Hamburgu, człowiek godny i zacny, powabnym wcale nie był.

„Co za szaleństwo — zachnęła się lady Sarah — ta francuska teoria, że kobieta młoda nie może żyć sama. Iść za mąż po raz drugi, bez miłości, wydaje mi się błędem. Szkoda Pameli, mało znam mężczyzn, którzyby jej warci byli.”

Księżna matka przyjęła wiadomość życzliwie, myśląc może z pewnością ulgą, że ukochany wnuczek stanie się już zupełnie jej własnością.

„Zasięgnęliśmy wiadomości o panu Pitcairn. Są jaknajlepsze, jest to człowiek wyborny. Należn się spodziewać, że biedna małeńka znajdzie kres swych kłopotów i utrapień i po ciężkich próbach młodości przepędzi resztę dni w spokoju.“

Pamela pragnęła już w istocie własnego dachu nad głową. „Dach przyjaźni“ załamywał się. Henrieta, niezbyt szczęśliwa ze swoim bankierem, myślała o rozwodzie. A także przyjmując rękę poważnego człowieka myślała z ulgą, że to ją wyzwoli od niesamowitej natarczości Turnera.

Szpieg, dowiedziawszy się o jej postanowieniu, nie mógł ukryć zawodu, i poprostu wściekłości.

Wyjechał natychmiast do Anglii, i tam—dał się zaaresztować, rozpuszczając pogłoskę, że poświęcenie jego dla Pameli popchnęło go w nieszczęście, gdyż pośpieszył do Anglii by dopomóc jej w sprawach majątkowych. Zamknięto go w fortecy St. George w Szkocji, gdzie siedzieli wszyscy wybitniejsi więźniowie stanu irlandzcy. Szpieg, odgrywający rolę patrioty, miał tam znów rolę nielada: wyłudzić od towarzyszków niedoli tajemnice organizacji, o które dopytywano ich napróżno przy śledztwie. Sztuka nie udała się i ktoś wydał zdraycę, tak jak niegdyś O'Connor ostrzegł swych rodaków przed Reynoldsem*). (Gdy w parę lat później rząd francuski wymienił więźniów irlandzkich za znakomitych jeńców angielskich, wyszedł z fortecy również Turner. Jeden z towarzyszy więzienia wyzwalał go i, nie czekając komendy, zastrzelił „jak psa“. Rząd nie ścigał zabójcy, zadowolony, że pozbył się kosztownego i niewygodnego szpiega).

Jakieś echo sprawy Turnera doszło do Zofji, gdyż pyta o niego Pamelę, a ta odpowiada jej ze smutkiem.

„Żał mi było tego nieszczęśliwego, nieostrożnego, młodzieńca, ale zachowanie się jego wobec mnie nie było dobre... Zdarzenie to nie dotknęło mego serca, rany, które los mu zadał, już się nie ulecza. Z rozkoszą powitałabym chwilę, gdyby moje marne ciało wypowiedziało posłuszeństwo pod zbyt ciężkim brzemieniem i z radością opuściłabym świat, który był dla mnie tylko szkołą boleści, ale zdrowie moje jest dobre, nawet utylam.“

„Tak droga Ciociu jestem prawdziwa Córka Boleści „I thrive in pain.“ „Kwitnę w bólu,“ dodaje, pisząc do lady Sary.

Jakby chcąc sama siebie pocieszyć, wymienia wszystkie dodatnie strony swej sytuacji.

„Żyję spokojnie, mam miłą przyjaciółkę, jestem kochana, och, ja nieszczęśliwa, jeszcze przywiązuję wagę do szacunku i miłości ludzkiej. Mizantropia moja ustępuje czasami i czuję pewną słodycz, pozwalając, aby mnie kochano“.

W lecie 1800 lord i lady Holland, szlachetna para, znana w całym świecie liberalnym, odwiedzili wdowę swego kuzyna i trafili właśnie na chwilę przyjazdu pani de Genlis. Nie podobała im się.

Żdziwiły ich jej obecne opinie religijno polityczne, ultra monarchistyczne i katolickie.

Piękna niegdyś grzesznica kajała się teraz, w wizjach wzburzonej imaginacji ukazywał jej się cień nieszczęśliwego małżonka i błagała go o przebaczenie...

W pewnej chwili takiego nastroju obudziło się w niej uczucie dla zaniedbanej córki. Słyszając o jej postanowieniu, przyjechała, aby być świadkiem ślubu, co więcej, postanowiła sobie uczynić coś w rodzaju publicznej pokuty i skończyć z fałszywą sytuacją wobec Pameli, wyznając otwarcie, iż ta jest jej córką.

Wybrała na to wyznanie wigilię dnia ślubu. Miało się to odbyć uroczystie. Pani de Genlis spowiadała się z rana, a następnie zebrała w salonie swej siostrzenicy Henryki Mathiessen rodzinę i przyjaciół.

Tam po kilku chwilach uroczystego milczenia, gdy mia-

*) W roku 1799 podczas manifestacji patriotycznej w Dublinie, tłum wznosząc okrzyki na cześć Fitz Geralda, zburzył dom zdraycy. W domu tym znajdował się osławiony major Sirr. Strzelał on do tłumy i zabił kilka osób. Zajęcie zakończyło się szarżą kawalerii na wzburzoną ludność.



ła wyznać prawdę, zabrakło jej odwagi.

Hrabina de Noailles, obecna tej scenie, opowiada ją z ironją:

„Pani de Genlis, urządziwszy prawdziwą szopkę, cofnęła się w ostatniej chwili i oświadczyła, iż Pamela jest w istocie córką praczki, kupioną przez nią za gotówkę... Pameli zrobiło się słabo wobec tej pięknej deklaracji, jej przyszy, konsul amerykański, o mało nie zemdlął i po wielu scenach romansowych i potokach łez, pani de Genlis odjechała do Paryża, uwożąc z sobą nowe adoptowane dziecko, syna krawca, którego nazwała Kazimierzem (tak, jak zwał się jej zmarły w niemowlęctwie syn)“.

Po tem tragikomicznem intermezzo ślub odrył się. Pan młody czuł się szczęśliwym, tak można przynajmniej sądzić z listu, jaki napisał do swego przyjaciela Adamsa (później prezydenta Republiki Amerykańskiej), zachęcając, aby tenże wstępował w jego ślady. Ale listy Pameli do rodziny były smutne.

W kilka miesięcy po ślubie donosiła Zofji, że Tony, dobry murek, opuścił ją wraz z żoną, która zrobiła się bardzo impertyncka, odkąd Milady została zwykłą Mistress. Była to przeszłość, która odchodziła od niej, przeszłość, nabierająca coraz więcej barw świetlnych w jej oczach. Pan Pitcairn był zacny i szanowny, ale cierpiał na reumatyzm i wtedy bywał przykry... miał również kamienie żółciowe...

Przytem był skąpy, posępny i fanatycznie, po purytańsku, pobożny.

Smutna rzecz, gdy się miało za męża rycerza z bajki, zostać pielęgniarzką stetryczalego kupca amerykańskiego. Pamela często płakała. Pam, która wyrastała i mądrzała, zaczynała niecierpieć ojczyzna, dość zresztą troskliwego o nią, gdyż piękne oczy matki widziała tak często z jego przyczyny zalane łzami.

Zdrowie jej również nie bardzo dopisywało. Została matką córeczki ochrzczonej, pomimo jej woli, po protestancku i chłopczyka, który jednak zmarł niebawem, co pogłężyło w wielkim smutku Pamelę.

Do zmartwień domowych przyłączyły się troski pieniężne. Rodzina Fitz Geraldów przestała z chwilą zamążpójścia wypłacać jej rentę 200 funtów sterlingów, do której się zobowiązała. „Czyż to nie wstyd—że od trzech długich lat p. Pitcairn łoży na utrzymanie panny Fitz Gerald“ A pan Pitcairn był skąpy.“ (c. d. n.)

W WALCE Z KLĘSKĄ ŚLEPOTY

(Wywiad z dr. Melanją Lipińską).

Dziwne bywają linie losów ludzkich. Młoda polka po przezwyciężeniu przeróżnych przeszkód udaje się do Paryża i z zapałem studjuje medycynę. W połowie studjów zagraża jej najstraszniejsze z kalectw dla człowieka pracy umysłowej: traci narazie w jednym oku władzę widzenia. Mimo to, kolosalnym wysiłkiem woli prowadzi dalej studia i kończy je, jako laureatka paryskiej akademii medycznej. Aliści mrok wieczystej nocy rozpościera nad nią swoje czarne zasłony. Dotyka ją klęska zupełnej ślepoty... Zdawałoby się, że karjera naukowa skończona raz na zawsze.

Tymczasem nadludzką prawdziwie wytrzymałością i wolą kierowana, niewidoma lekarka pracuje dalej, wraca do kraju, zda egzaminy przed rosyjskimi wówczas władzami naukowymi—by mieć i w Polsce prawa lekarza—potem znów wyjeżdża zagranicę na dalszą naukową pracę. Oczywiście interesuje ją przede wszystkim problem leczenia ślepoty, oraz niesienia ulgi i pomocy niewidomym. Bada, eksperymentuje, zwiedza zakłady dla niewidomych, projektuje ulepszenia, wygłasza odczyty i t. d.

Podczas wojny przebywa w Anglii i tam studjuje gorliwie higienę umysłu i higienę odżywiania. Tam także poddaje się 40 dniowemu postowi, celem dokonania na sobie samej naukowego eksperymentu.

Po wojnie jedzie, zasłyszawszy, że w Stanach Zjednoczonych stosowane bywają nietyle przez naukowców, ile przez zarabiających na tem doskonale amatorów-praktyków pewne metody leczenia ślepoty, w Europie nieznane, pragnie zapoznać się z nimi na miejscu.

Ale do kraju dolarów nie wpuszczają człowieka niewidomego; więc idzie do lekarzy amerykańskich petycja, podpisana przez naukowe powagi europejskie oraz przez przedstawicieli instytucji pracujących „pour le bien des aveugles”, z prośbą o wpuszczenie dr. Lipińskiej do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Petycja otwarła wyłom w niemiłosiernej zasadzie Nowego Świata. Dr. Lipińska nie tylko wpuszczono do Ameryki, ale była tam przyjmowana przez prezydenta Unji Hardinga, zwiedzała tamtejsze zakłady dla niewidomych i zapoznając się z amerykańskimi metodami leczenia ślepoty, tworzyła sobie stopniowo swój własny pogląd na terapię tego smutnego kalectwa.

Po dwuletnim pobycie jej w Ameryce dnia 3 lipca r. b. zorganizowano w Paryżu pod przewodnictwem prof. Moraxa (powaga w zakresie okulistyki pierwszorzędna) konferencję, na której dr. Lipińska wobec specjalistów zdała sprawę z przeprowadzonych w Ameryce badań.

Jako wynik tej konferencji zapadło postanowienie przeprowadzenia całego szeregu doświadczeń w szpitalach paryskich pod kierunkiem dr. Lipińskiej, a pod kontrolą członków Akademii medycznej.

Wszystkie te rzeczy były mi wiadome już w chwili, gdy przystąpiłam do rozmowy z dr. Lipińską.

Zapytanie naturalnie o pierwsze wrażenia.

Wrażenie jest dziwne.

Niewidomi odznaczają się zazwyczaj szczególnym spokojem i skupieniem, zrozumiałem zupełnie u ludzi, otrzymujących tak mało wrażeń od świata zewnętrznego. Tu przeciwnie ma się do czynienia z osobą niezmiernie żywą ruchliwą nerwową i jakby oczekującą wciąż momentu, w którym tajemna jakaś siła duszy jej przerwie zasłone ślepoty i promieniem wzroku strzeli na świat.

Jakoż dowiaduję się w rozmowie, że dr. Lipińska „wierzy, iż kiedyś jeszcze widzieć będzie”.

— Czy Pani, dzięki stosowanym przez siebie metodom, doznała już jakiegoś polepszenia? zapytuje

— O tak, choroba moja jest to t zw. po polsku „jaskra” gloauoma reumatyczna. Towarzyszą jej bardzo dotkliwe bóle. Dzięki stosowanym przezemnie sposobom, cierpienia te od pewnego czasu zupełnie ustały.

Proszę dr. Lipińską o wytłómaczenie mi, na czym polegają te nowe metody leczenia ślepoty—o ile naturalnie profance wyjaśnić to może.

— Choroby wzroku — zaczyna wykład dr. Lipińska—powstają zwykle na tle chorób ogólnych: reumatyzmu, syfilisu, tuberkulozy i autotoksykacji organizmu. Należy naturalnie leczyć przede wszystkim te choroby. Ale pozatem doświadczenia, prowadzone przeze mnie nad systemem nerwowym, nad higieną umysłu, higieną odżywiania doprowadziły mnie do wniosku, że oddziaływanie psychiczne ma w leczeniu ślepoty również kolosalne znaczenie. Trzeba otoczyć zagrożonego utratą wzroku, tembardziej niewidomego już jaknajpogodniejszą atmosferą psychiczną, rozbudzić w nim nadzieję, podzielać silnie na podświadomość. Przytem metoda ruchów rytmicznych głową z boku na bok i z góry na dół, przysyłania na pewien czas oczu

odwrotną stroną dłoni, wprowadzenie umysłu w stan absolutnego spoczynku, dają bardzo dodatnie i nawet dla profanów o osłabionym wzroku, którzy na sobie wypróbować ich zechcą, łatwo sprawdzalne wyniki. Niesłuchanie ważnym czynnikiem w zapobieganiu i leczeniu ślepoty jest sprawa odżywiania. Radzę stosować specjalną dietę, usuwającą z organizmu produkty samozatrucia. Znakomitym wreszcie środkiem jest prysznic kilkogodzinny.

Gdy wyraziłam w tem miejscu pewne zdziwienie, zapewniła mnie dr. Lipińska, że doświadczenia prowadzone przez nią w Bostonie i innych miejscowościach Ameryki dały jej przy tej metodzie najlepsze rezultaty.

Potem przeszliśmy na psychikę niewidomych: tu usłyszałam rzecz przedziwną.

— Jestem szczęśliwą, powiedziała mi dr. Lipińska — że przypadło mi w udziale rozumieć psychikę niewidomych, która jest zupełnie różną od tego, co zwykle sobie wyobrażamy.

Dr. Lipińska twierdzi, że wskutek utraty jednego z najważniejszych organów, z podświadomości niewidomego wyzwalają się siły psychiczne, o których ludzie w zwykłym stanie nic nie wiedzą. Siły te stają się czynne i zastępują wzrok

Dr. Lipińska zaobserwować mogła na samej sobie ogromny wzrost sił pamięciowych, rozwój intuicji i wrażliwość na t. zw. przez nią „wibracje”. Wrażliwość ta pozwala jej odczuć psychikę człowieka, z którym przestaje.

Poza tem wrażenia słuchowe i dotykowe dają niewidomemu tak silną percepcję, „jak gdyby się widziało”.

Zdaniem dr. Lipińskiej niewidomy może rozróżniać kolory, może sam chodzić, a nadewszystko zarabiać na swoje utrzymanie, jeżeli jest do tego fachowo przygotowany.

— Czy długo pani zabawi w Warszawie? — zapytuje.

— Już tylko kilka dni.

— Jestem tu przejazdem. Zateksniłam do Polski. W lipcu byłam w Belgii, gdzie w zamku Lacken przyjmowana byłam przez króla i królową, a potem zapragnęłam odwiedzić mój kraj i całe lato spędziłam w Krynicy. Wracam do moich doświadczeń w szpitalach paryskich.

Taka była mniej więcej treść rozmowy mojej z tym niepospolitym człowiekiem. Dusza dr. Lipińskiej ma cechy niezwyklej siły, wola jej łamie sam los; a niesłuchanie polskim objawem jest w niej

ta niestrudzona walka i ta jej nadzieja przeciw nadziei, przeciw opinii powag lekarskich, przeciw wyrokowi nauki. Oczywiście tylko specjaliści orzec mogą, czy w metodach propagowanych przez niewidomą lekarke mogą dotknięci ślepotą położyć taką ufność i wiarę, jaką ona posiada, ale każdy inteligentny człowiek ocenić musi walory moralne tej heroicznej walki z nieszczęściem, z kalectwem, z mrokami wieczystej nocy... C.

ŚWIEŻA MOGIŁA

Zmarł przed kilkoma tygodniami major Marjan Dąbrowski, zasłużony działacz na niwie krzewienia oświaty wśród żołnierzy, człowiek prawy i szlachetny. Zmarł w pełni sił i energii życiowej, w rozkwicie lat. Zostawił po sobie wspomnienie rzetelnej i sumiennej pracy i żal, że odszedł tak nagle i tak wcześnie.

Ś.p. major Marjan Dąbrowski, mąż jednej z najzazłuszeńszych wsoół-pracowniczek naszego pisma, Marji Dąbrowskiej, od szeregu lat pisywał do *Bluszczy*. Był on zresztą zawsze gorącym zwolennikiem ruchu kobiecego w Polsce, i współpracownikiem każdej w imię szczytnych asel dobra narodu i ludzkości podjętej roboty.

Gdy w czasie wielkiej zawieruchy wojennej garść kobiet polskich stanęła na równi z mężczyźnami do walki orężnej o wolność narodu, gdy borykać się musiały z tysiącem uprzedzeń i trudności w swojej pracy podjętej w imię hasła niepodległości — ś.p. Marjan Dąbrowski należał do tej nielicznej grupy ludzi — którzy mieli odwagę głośno i otwarcie podnosić wartość ich prac, trudów i ofiary. W swej książce, poświęconej wspomnieniom tych, którzy o Polskę walczyli, p.t. „Różaniec życia i śmierci” pierwsze karty poświęcił kobiecie polskiej. — W kilku rysach starał się naszkicować trudną, niebezpieczną i jakże bardzo nieznaną szerokiemu ogółowi pracę kurjerek — wywiadowczyń, tych które „gdy wielka bitwa rozgorzała na całym froncie, ścieżkami i ścieżynkami, przez bezdroża, jary, wadoły, przekradały się przez linję wrogich wojsk.” W żywych barwach skreślił portret „ob. Ludki”, sierżanta prowiantowego 3 kompanji V baonu I Brygady. Pełne entuzjazmu słowa płyną z pod pióra ś.p.

M. Dąbrowskiego, gdy pisze o sanitariuszkach doglądających chorych na dyzenterję, tyfus i ospę. „Od mycia podłóg, do zawijania zmarłych w karbolem przesycane prześcieradła i układania w trumny z wapnem, wszystko to czyniły bohaterki sanitariuszki z niezwykłą pogodą ducha” w ubogim legionowym szpitalu w Jabłonkowie. Wreszcie opowiada nam o nadludzkim wysiłku, o bezgranicznej męce „siostry”, która bez łzy w oku, bez jęku pełni służbę sanitariuszki w ten straszny dzień, w którym jeden z rannych żołnierzy wyjawiał zabijającą prawdę, że „mąż jej zginął, że ciała nie znaleziono, że przynieśli tylko skrwa-wiony płaszcz.”

Głos ś.p. Majora Dąbrowskiego jest jednym z bardzo nielicznych świadectw wystawionych pracy kobiet w ciężkich latach wojny. Świadectwo to tem cenniejsze, że pochodzi z rąk prawego żołnierza i obywatela.

To też na łamach pisma kobiecego należy się ś.p. Marjanowi Dąbrowskiemu serdeczne wspomnienie i hołd jego pamięci. A.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



SENSACYJNA PODRÓŻ

Jedna z amerykańskich „gwiazd filmowych”, występująca obecnie w Paryżu, panna Pearl White, zaproszoną została na gościnne występy do jednego z teatrzyków londyńskich. Z zaproszenia tego skorzystał jej impresario, aby rozreklamować wszędzie młodą artystkę, urządzając podróż z Paryża do Londynu z niebywałym wprost przepychem.

„Gwiazda” zabrała ze sobą na ten krótki, bo zaledwie kilka tygodniowy pobyt, trzydziści olbrzymich kufrów, a na każdym z nich wielkimi literami wypisane było imię jej i nazwisko. Na statku, którym przepłynęła z Boulogne do Douvre, zarezerwowano dla niej cały pokład, a inni pasażerowie, ciasno stłoczeni, zazdrośnie przyglądali się pięknej divie, przecha-

dzającej się samotnie wśród przepysznych krzewów kwiatowych, którymi pokład był przybrany.

W Dover oczekiwał specjalny pociąg, również przybrany kwiatami i ozdobiony ponadto olbrzymim napisem: „Pearl White”. Pisma angielskie tymczasem zdążyły już rozgłosić o przyjeździe artystki, na dworcu, więc przy Victoria Street zebrały się tłumy zaciekawionej publiczności, oglądającej ze zdumieniem kolosalny plakat z napisem: „Tu przybywa Pearl White”. Rzecz oczywista, że rozreklamowana w ten sposób artystka wzbudziła w Londynie wielkie zaciekawienie, i teatr, w którym występowała, stał się przepełniony. Honorarium, które pobierała, było również... sensacyjne. Za każdy występ bowiem płacono jej po 200 funtów szterlingów, a ponadto „gwiazda” zażądała jeszcze od dyrektora teatru, aby ją na czas jej pobytu w Londynie ubezpieczył „od nieszczęśliwych wypadków” na sumę 100.000 funtów szterlingów!

„ZŁOTE MYŚLI” LADY ASTOR.

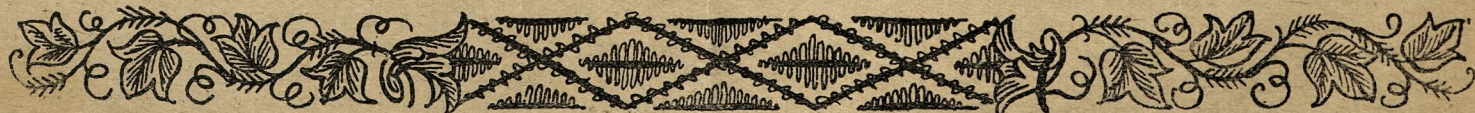
Australijskie pismo kobiece „The Dawn” (Jutrzenka) proponuje zapisanie do „Księgi złotych myśli ludzkości” następujące zdanie słynnej posłanki angielskiej, Lady Astor, o „obowiązkach kobiet względem społeczeństwa”:

„Obowiązkiem naszym jest do wieść, że stanowimy jako połowa ludzkości — czynnik pierwszorzędnej wagi nie tylko w życiu prywatnym, lecz i społecznym. Najlepszym sposobem po temu jest wykazanie, że nie kierują nami żadne względy osobiste, lecz jedynie pragnienie stworzenia lepszych, czystszych, zdrowszych, warunków życia dla przyszłych pokoleń ludzkości.

Wierzę mocno, że jeśli weźmiemy na swoje barki część pracy i odpowiedzialności, które teraz ponoszą sami mężczyźni — i wypełnimy je sumiennie, odważnie, nie cofając się przed żadnym zagadnieniem, dlatego tylko, że jest ono przykre — jeśli przeciwstawiać będziemy czystość — brudowi i zepsuciu, prawo i sprawiedliwość — krzywdzie, przyczynimy się do tego, aby świat stał się lepszym.

Nie twierdzą, że kobieta wystąpieniem swoim na arenie życia publicznego zmieni na pewno oblicze świata: twierdzą tylko, że gdyby zechciała, mogłaby to uczynić.”

Z. B.



NIC WAŻNEGO

SZCZĘŚLIWE I BOGATE

Pan Eugenjusz otulał penjuarem podgoloną szyję brunetki; na sześciu płomykach skwarzyły się szczypce; zapach przypalonych włosów i dwadzieścioro skłóconych perfum łaskotały nozdrza, jak wata. Przed lustrami tkwiły głowy jeszcze tłuste, inne już prawie piękne i te najniezwyklejsze, w czapkach z mydła. Fryzjerzy celebrowali z twarzami istot niesłusznie zesłanych na ziemię — wyrozumieli, zmęczeni i smutni. Gdzie spojrzalesz — widać było plecy męskie pieczołowicie schyłone nad jakąś uwłosioną pustotą. Myślałby kto: szeregi ojców, którzy lada chwila, pogładziwszy dłonią, przebaczą...

Brunetce już widocznie pan Eugenjusz odpuścił, bo z pod fali loków strzelała doń okiem, szczeniocząc: „Jak mąż mnie zabije za krótką czuprynę, pan chyba się przecież zastrzeli, bo to pan właściwie winien...” — „Dobrze, dobrze, proszę klienteczki, da się zrobić” — szemrał na to, jak się mówi do dziecka, które pragnie w salonie hodować króliki. Tłuszciocha, z dłonią uwięzioną wśród szponów manicurzystki, złośliwie marszczyła nos w odpowiedzi na zalotne spojrzenia sąsiadek. Rozmowy toczono półgłosem, ruchy fryzjerów były po kapłańsku rozważne, wszystkie złoto i czarno-włose garçonne'y miały pozór dam bogatych i do znudzenia szczęśliwych. Co chwila trzaskały drzwi, chłopak z guzikami giął się we dwoje i odwijał z futra jedną więcej hrabinę, czy primadonnę.

Dymiły wonne papierosiki, suknie zezowały na siebie, szeleścił „Czarnemi skrzydłami” Świat w dłoniach aż gorzkich od Chypre'u. „Feliksie, wody...” — ogłaszała od czasu do czasu z wyrzutem panna Zenobja, namaszczając czerwienią coraz inne paznogie. I „Végétal'u” — dodawał smutnie pan Ewaryst. Feliks, jedyny w zakładzie, nie umiał jeszcze nalewać, podawać i kłaniać się z boleścią. Przyjęto go dopiero od pierwszego, więc furczał i terkotał, jak rozpędzona maszyna. Panowie z imionami patrzyli nań żałośnie: „Czy to jest takt, takie zachowanie? Z tej maki chleba nie będzie.”

Tymczasem damy czekające telefonowały. „Czy to Marcelina? Czy pan już wyjechał z domu? Aha, wypalił cygaro i kazał zająć. Dobrze. Czy srebra schowane? Tamta czyści. Dobrze. Proszę powiedzieć w kuchni, że kolacja na 5 osób... według dyspozycji... po

teatrze. Tak. I niech tamten pamięta o ubraniu pana na wieczór. Dobrze. Możesz odejść.” Albo: „Tak, to ja, śmieszny Bobiku. A o dzwonię, bo tel est mon bon plaisir. Skąd? Od mego fryzjera! Tak, wyjątkowo dziś sama, bo odwoziłam Lale do krawca i po drodze... Kiedy zobaczysz? A, mój mały, na piękne rzeczy trzeba czekać... Pasja nie pomoże. Cicho, głuptasie... Bobby... Dzisiaj? Nie wiem. No, zresztą... Może. Bądź tymczasem grzeczny. Zadzwoń. Ach, ty nieprzyzwoity! Przez telefon?...” Albo jeszcze: „Lala? Tak. Przyjdź do mnie wieczorem — opowiem ci coś. Wypadło bajecznie. On ma wspinał makaty... I sam... Ach... Zresztą wszystko ci powiem.” Wiadomo: były wszystkie bogate i szczęśliwe.

Potem damy wracały sennie na fotele, żeby splatać i rozplatać nerwowe paluszki, żeby w zadumie wodzić okiem po ścianach i brzęczeć, brzęczeć bransoletką. Czekanie jednak trwało zbyt długo: pani w liljowym kapeluszu wyjmowała z torebki kilka srebrnych monet (miała ich tak wiele...) i, przywołując złote guziki, mówiła: „Chłopczyku, przynieś mi czekoladek od Fruzińskiego! Albo nie... Czekoladek i ciastek z Ziemiańskiej.” Na to czarny kostjum chwycił portmonetkę ze smokiem i śpieszył dodać: „To i dla mnie proszę chałwy i dwie róże ze Złocienia.” Wiadomo: były wszystkie szczęśliwe i bogate. Więc chłopczyk pędził co tchu, aż brzęczały guziki na brzuchu i monety w kieszeni.

Brunetka wreszcie frunęła z przed lustra z główką wełnistą, niczem wzburzone morze i powolutku wkładała kapelusz. Żeby nie obrażyły pana Eugenjusza, na którego czole duma była wypisana białymi zgłoskami — dwa złote napiwku zostały wsunięte ruchem niemal pieścotliwym do bocznej kieszeni kitla. Kołysząc się na wysokich biodrach, pani uczesana, szła ku drzwiom. „Dowidzenia” — powiedziała na progu, jakgdyby z żalem, a panowie z imionami pochylili przedziałki i szcękneły gorące żelazka.

Na ulicy padał śnieg, samochody umyślnie lały w największe błoto, żeby ludziom opryskiwać palta. Pachniało wcale nie Chypre'm i nie Emeraude'm — raczej już fabryką i brudnym podwórkiem. Brunetka wsiadła do tramwaju. Przyściśnięta do dwójga śpiczastych kolan, siedzących na ławce, szukała

groszy. W rękawiczkach szło tak niesporo, że konduktor się zezłościł i poszedł dalej. Na następnym przystanku pani wysiadła. „Jak tyś to ludzie tak mogom, moja pani, zapiały wślad za nią śpiczaste kolana — wsiada to, popycha się, a tych marnych pietnasta groszy, to nawet i nima przy sobie...”

Mniej więcej w tym samym czasie kostropata Marcelka w kuchni na Złotej 30, piszczała przez lufcik do sąsiadki: „Słuchaj, ty Mańka! Wiesz, moja stara zwarjowała. Dzwoni ci do mnie z miasta i tak powie: Marcelino, czy pan już wyjechał z domu? „Wyjechał,” — uważasz? Więc ja, że to stary akurat podyrdał do biura, myślę se: wyjechał na własnych girach i mówię: Wyjechał. Tak dla stypy. A ona na to: Aha, wypalił cygaro i kazał zająć. — Tak ja, mówię ci, zgłupiałam. A ona znowu: Czy srebra schowane? — Myślę: idjotka! — o te cztery łyżczy, to zaraz: „srebra.” I powiadam ji: zmywam akurat. — No, i co ty powiesz Mańka? Co ona na to? Ona ci wali: aha, dobrze; tamta czyści. — Uważasz: „tamta.” Co za „tamta,” nic nie kapuję. „Czyści” — uważasz? A potem jeszcze cosik tam nakręciła o despozycji, o teatrze i żeby „tamten” o ubraniu pamiętał... Słyszałaś kiedy takom hece?”

A wieczorem (to znowu było na na Żórawiei) przyszedł do domu „śmieszny Bobik” i tak się przywitał: „Cóż ty znowu za facecje wyprawiasz, moja droga? Rozmawialiśmy przecież, jak gęś z prosięciem. Dzwonisz do mnie, nazwiesz mnie po cudacku, ja się tam, o której dziś wracasz z dyżuru, a ty: „ach,” „och.” „Nie wiem.. Zresztą może...” Cóż to za koncepty? — Potem Bobby nieufnym okiem oprowadził kształt połowicy i dodał: „A czemu latasz na codzień w najlepszej sukni i w lakierach? O trzynastych pensjach już teraz słuch zaginął...”

Lala za to nie przyszła, bo jej wcale nie było; poprostu ktoś przycisnął paluszką pstryczek od słuchawki i mówił muzom, sobie i fryzjerom: „Ach, Lalu, jakie on ma piękne makaty! A sam...”

* * *

Pan Eugenjusz, pan Ewaryst i panna Zenobja — wyrozumieli, dystygnowane istoty, przez pomyłkę zesłane na ziemię — pracują bez wytchnienia, coraz innym namaszczając paznogie, bowiem pełno jest dam, które choć raz w tygodniu chcą być bogate i szczęśliwe.

Marja Kuncewiczowa.



Z SALI ODCZYTOWEJ

*Marjan Marstro — Kobieta, miłość,
a małżeństwo.*

Odczyt ten, wygłaszany kilkakrotnie w roku ubiegłym i obecnie, dowodem jest, że publiczność warszawska interesuje się tematami, zapowiedzianymi w afiszach. Niestety treść tych prelekcji nie odpowiada wzbudzonemu zainteresowaniu.

Po pseudo-naukowym wstępie, omawiającym dzieje matrijarchatu, przechodzi prelegent jakoś bardzo prędko do chwili obecnej i tu, Boże się zlituj, cóż to za gmatwanina pojęć i co za mieszanina wszelkiego rodzaju sprzeczności.

Prostytucja np. raz jest według prelegenta wrzodem na ciele ludzkości, drugi raz koniecznością życiową mężczyzny i krzywdą byłoby mu jej odmawiać i t. p.

Nieszczęśliwe uogólnienia w rodzaju np., że „mężczyzna choćby najstarszy żeni się zawsze z kobietą młodą,” a nade wszystko brak jakiejś wyraźnej linii w wywodach p. Marstro, prócz chyba oklepanki, że ludzie powinni łączyć się w małżeństwa z miłości i że powinni żenić się w młodym wieku, czyni z odczytów tych rzecz zgoła zbędną, bo pozbawioną wszelkiego waloru.

I tego rodzaju odczyty powtarza się kilkakrotnie, i widocznie interes ten się opłaca...

Czyżby nie powinny stowarzyszenia kobiece zainteresowania powszechnego wyzyskać gwoździ wzbudzenia dyskusji nad sprawami, o których dotychczas tak uparcie milczano, a które domagają się uwagi.

Możnaby doprawdy zapoczątkować poważny ruch myśli o wielu zaniedbanych dziedzinach życia społecznego i zasilić obficie puste chronicznie kasy różnych instytucji kobiecych.

Z TEATRÓW

Warszawa lubi teatr i kocha aktorów. Nikomu nie jest tak wierna, dla nikogo nie odczuwa takiej wdzięczności, jak dla tych, którzy z desek scenicznych potrafili przemówić do Jej serca i wyobraźni. Wymownym dowodem tego jest jubileusz dyr. Solskiego. Znakomitemu artyście i wychowawcy zgotowano wspaniałą owację, w gorących słowach podkreślając jego zasługi jako artysty i pedagoga. Tysiąc ról!.. Rzadko który aktor może poszczycić się tak wielkim repertuarem!



Do dawnych kreacji, z których większość nazwać można „genjalnemi”, dodał Solski jeszcze jedną: Hetmana Żółkiewskiego w sztuce Kaz. Brończyka.

Dramat ten, nagrodzony na konkursie T. M., pomimo wielu błędów i usterek posiada cechy niewątpliwego talentu. Autor zgrzeszył może, zbyt wielką ufność pokładając w naszą znajomość historii i postaci historycznych (w danym wypadku hetmana Żółkiewskiego). W trzech luźnych obrazach starał się zamknąć tragedję wielkiego patrioty, który walczyć musi nie tylko z wrogiem zewnętrznym, ale i z ciemnym gminem szlacheckim. Mam wrażenie, że zadanie to przewyższa możliwości pana Brończyka.

Dyr. Solski dał postać pełną tragizmu i grozy. Piękną sylwetkę Reginy Żółkiewskiej stworzyła pani Jasińska. Pan Frenkiel był jak zawsze przepyszny.

Dekoracje aktu drugiego bardzo piękne. Całość przedstawienia — świadczy o staranności, z jaką Dyr. T. N. chciała przedstawić widowni dzieło młodego poety.

* * *

Są sztuki, które się nie starzeją. Jest to przywilej rzadki, ale właściwy nie tylko arcydziełom: niektóre bezpretensjonalne utwory, jak „Słomkowy Kapelusze”, posiadają go również. Zaśmiewa się już na nim trzecie pokolenie, a śmiać się będzie czwarte i piąte, jeżeli uda się „Kapeluszowi” znaleźć w przyszłości takiego realizatora, jakim obecnie obdarzył go los w osobie pana Zelwerowicza.

Tchnąć życie w „przestarzały” wodewil, wydobyć z niego maximum komizmu i humoru — nie należy do rzeczy łatwych. Może drogą do tego byłaby aktualizacja, ale wtedy sztuka straciłaby wiele uroku... Trzeba było znaleźć drogę inną. Postacie komedji Labiche'a wzięte były z życia, a komizm ich polegał na kontraście, jaki tworzyły te istoty z krwi i kości w zestawieniu z nieprawdopodobnymi przygodami pana Fadinarda i orszaku ślubnego z Clarenton z niezrównanym papą Nonancourt na czele. My tego kontrastu nie moglibyśmy już odczuć: dla nas najrealniejsze po-

stacie Labiche'a są — z nieprawdziwego zdarzenia. Aby kontrast ten wydobyć, przywołano na pomoc dekoratora w osobie pana Gronowskiego, który dał „Kapeluszowi” tło i oprawę ekspresjonistyczną. Bardzo kolorowe, wesołe i zabawne są te malowane na ścianach krzesła, zwierciadła, potwornie wielkie donice kwiatów i t. d.

W takim otoczeniu mogą się dziać rzeczy tak nieprawdopodobne, jak przygody bohaterów „Słomkowego Kapelusza”. Całość stworzyła widowisko, które się chlubnie zapisze w kronikach Teatru im. Bogusławskiego.

Pan Solarski miał dużo giętkości, wdzięku i dyskretnego komizmu, jako lekkomyślny Fadinard. Orwid był znakomitą „papą Nonancourt”. Kurnakowicz niezrównanym niezgrabą wiejskim, dyr. Zelwerowicz pysznym „Panem z orszaku weselnego”. Role kobiece z wdziękiem kreowały panie: Lewicka, Starska, Kuncewiczówna i inne. Sceny zbiorowe, pełne ruchu i życia. Jednym słowem: sztuka godna widzenia.

Z. P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wyszedł z druku wrześniowy Nr 9 (31) miesięcznika „Życie Szkolne”, poświęconego nauczycielskim konferencjom rejonowym. Pismo to poważnie traktuje sprawę nauczania i wychowania, a zawierając wiele wskazówek praktycznych, niezmiernie ułatwia nauczycielstwu wywiązywanie się ze swej mozolnej pracy. Ostatni numer zawiera artykuły: M. Orłowa „Podstawy pedagogiczne i psychologiczne programów ministerjalnych” (c. d.); Ed. Matuszaka „Chwasty na niwie konferencyj rejonowych”; A. Rejnerowej „Pogląd Marii Montessori na wychowanie elementarne”; Janiny Łepkowskiej „Wpływ stopni na psychikę dziecka”; Walerego Nowickiego „Nasze elementarze” (c. d.); F. M. „Wrażliwość i ruchy roślin” i inne.

* * *

Ukazał się pierwszy zeszyt kwartalnika „Akwarjum i Terrarium”, wydawanego w Warszawie, Bednarska 9, jedyne w Polsce czasopismo poświęcone budzeniu zamiłowania do hodowli pokojowej zwierząt i roślin w akwariach i terrariach.

Na treść powyższego czasopisma składają się opisy i rezultaty badań nad hodowlą i życiem poszczególnych gatunków ryb i roślin wodnych, oraz płazów i gadów.



OD EMPIRE'U DO KRYNOLINY

Restauracja Burbonów wprowadza restaurację gorsetu. Pierwiastki romantyczne. Krezy i łoki à la Henri IV, pasek à la Marie Stuart. Dwadzieścia lat panowania rękawa, „Ślonie” i „udźce baranie”. Uczesanie i nakrycia głowy. Czepce rosną jednocześnie z rękawami. Turbany i feroniery. Nadmiar klejnotów. Książęce ceny kapeluszy.

Styl pierwszego cesarstwa przeżył o wiele lat cesarstwo samo. Ta długowieczność wydaje się tem godniejszą podziwu, że strój w tym stylu dla większości kobiet zgoła nie był korzystny. 30 lat panowania empire'u stanie się rzeczą zrozumiałą dopiero wtedy, gdy uprzedzimy sobie fakt, że o istnieniu mody decyduje z jednej strony pęd naśladowczy, z drugiej jej wytrzymałość.

Po kongresie wiedeńskim styl ten osiąga szczyt rozwoju w zakresie tego, co kobiecie może dać doskonałą sylwetkę posagową. Wyszedłszy z zasady powrotu do natury z lekkim w następstwie odchyleniem ku antykowi, moda każe stopniowo wyłaniać się kształtom kobiecym z okrywającej je zasłony, aby po 20 latach znowu je szczelnie otulać i, oddalając się od pierwotnego założenia, wyrodzić się w karykaturę.

Króciutki stan, kończący się tuż pod piersiami, dzielił postać kobiecą na dwa nieproporcjonalne odcinki. Wązka, pozbawiona fałd sukni, spadająca aż do kostek, i wysoki, w kształcie rury kapelusz wydłużały jeszcze bardziej i tak zbyt smukłą sylwetkę.

Według słów George Sand, elegantka ówczesna, zamknięta w wąskiej sukni, niby w futerale, nie mo-



gła przeskoczyć ryszotką, nie gubiąc pantofelków.

Powrót rodziny królewskiej do Paryża wniósł do stroju pewne pierwiastki romantyczne w postaci krezy i wielkich przeładowanych piórami toków à la Henri IV. Krezy nie były w danym wypadku korzystną inowacją. Stan odcięty od podbródka sutym wałkiem, a kończący się już pod pachami, stał się jeszcze krótszym i bardziej nieforemnym.

Około r. 1820 zaczęto wydłużać talje zapomocą tak zwanego paska Marii Stuart, zakończonego spięzaczem z przodu. Dopiero między rokiem 1820 a 1822 stan powraca do właściwego położenia we wcięciu korpusu.

Ta zmiana pociąga za sobą restaurację gorsetu, który zaczyna swój triumfalny pochód przez świat od Paryża. Suknie rosną wszędy, zwiększa się ich obwód. W latach 1836—1837 dotykają ziemi. Z górą dwadzieścia lat moda zaniedbuje formę sukni, nie zmieniając w niej nic, prócz ornamentu bufek, falban, wolantów, plisek. Zato z upodobaniem fantazjuje na temat rękawa. W 1816 roku rękaw jest wąski i tak długi, że sięga aż do palców. W 1818 mamy krótkie bufki, a od roku 1822 zapanowuje nieznana dotychczas rozmaitość i bogactwo kształtów. Zjawiają się naprzód „gigot”, udźce baranie, rychło wyrugowane przez monumentalne „ślonie”. Nie upłynęło piętnastu lat od chwili, gdy ideałem sylwetki kobiecej była smukłość, a oto dzięki wydułym rękawom i spadającej na nie berty, szerokość ramion kobiecych może skutecznie rywalizować z wysokością całej postaci.

Powiewność ulubionych wówczas materiałów, jak batyst, muślin, barège, haftowane organdy, nadają obszernym szatom niezwykle lekkość. Rozłożystość ramion uwydatnia cienkość talji, a swobodnie spadająca do kostek sukni nadaje całości pełen swoistej afektacji i manjery wdzięku, któremu trudno nawet dzisiaj nie ulec, zwłaszcza gdy przemawia do nas ze ślicznych rysunków Gavarniego.

Powodzenie pięknej damy zależało w równej mierze od krawca, jak od modystki i fryzjera. Włosy spiętrzano wysoko nad karkiem, a na skroniach aż do uszu w dwóch grubych pękach układano loki. Zresztą niewiasta ówczesna prawie nigdy nie ukazywała się z odkrytą głową. Po domu nosiła czepeczek, na ulicę przywdziewała kapelusz, na zebrania skomplikowaną budowlę z riuszek, wstążek, piór i kwiatów. Te czepce rosły razem z rękawami i podobnie jak one osiągnęły największe rozmiary w latach 1830—31. Jeżeli mamy wierzyć obrazom z tych czasów, to moda ta była niezwykle korzystną, pozwalając bowiem każdej kobiecie stwarzać odpowiednie tło i ramy dla twarzy, a nie krępując pod względem doboru barw i materiału, otwierała rozległe pole pomysłowości, fantazji i... kokieterji strojnisi.



1823 r.



1823 r.

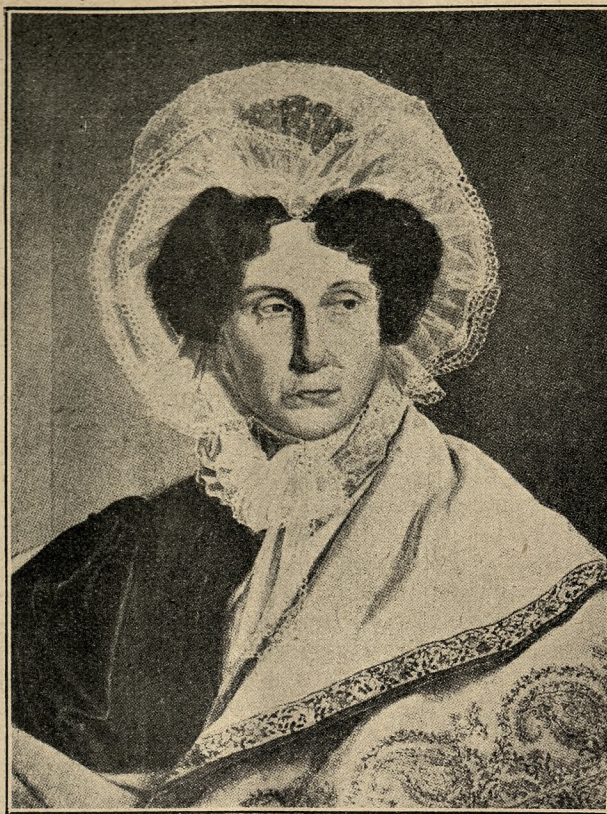
Ulubionym wieczorowym strojem głowy był przez długie lata turban, którego pochodzenie tradycyjnie przypisywano wyprawie Napoleona do Egiptu. W istocie przynieśli go do Anglii indyjscy nababi, skąd rozpowszechnił się po całym świecie. Widzimy go już na obrazach Reynoldsa. Jeszcze w 1837 r. moda lansuje jako nowość turbany greckie, indyjskie, żydowskie, czerkieskie, haremowe.

Również długo utrzymała się ozdoba, zwana „Feroniera”, cienki łańcuszek okalający głowę, z drobną perłą lub innym klejnocikiem na środku czoła. Ta ozdoba, znana w epoce Odrodzenia, a uwieczniona przez Leonarda de Vinci w jego „Feronierze”, przyjęła się teraz tem łatwiej, że ówczesne damy lubiły literalnie obwieszać się kosztownościami.

Prawdziwa elegantka prócz diademu miała jeszcze we włosach ozdobny grzebień i szpilki, na szyi kolję oraz długi cienki w złocie dzierzgany łańcuszek, bransoletki na rękawach, pierścienie na rękawiczkach, długie kolczyki w uszach, broszkę przy sukni i klamrę przy pasku. Do kompletu należało jeszcze mieć „portebouquet” srebrne lub złote i wachlarz ze szlachetnego metalu, niejednokrotnie nawet ze złota, aby zadość uczynić wymaganiom mody.

Do żałoby noszono ozdoby ze srebra lub polerowanej stali. W latach trzydziestych w Paryżu bardzo modne były klejnoty w stylu średniowiecznym, które bynajmniej nie były kopją oryginałów z przed lat kilkuset, ale kombinacją dowolną form architektonicznych. Rezultatem nadużycia bywa zawsze przesyt, a moda nieraz z jednego krańca popada w drugi, to też w dziesięć lat później obfitość klejnotów ulega redukcji; znikają kolje i broszki, pozostają tylko ozdoby we włosach.

Kapelusz musi w kolorze być odmienny od sukni, np. nosi się czar-



ny kapelusz do różowej toalety, albo biały do czarnej.

Pod względem kształtu nie ulega żadnym poważniejszym zmianom.

Podczas okupacji Paryża przez sprzymierzeńców, niektóre strojnisię zapożyczały formę swych kapeluszy od wojsk najeźdźczych, ale był to kaprys chwilowy, rychło zdyskwalifikowany, jako ekstrawagancja.

Jeszcze w 1818 r. noszono powszechnie wąskie i wysokie cylinderki z różowego atlasu, ale już wtedy pojawiają się budki z szerokim rondem, które z drobnymi zmianami będą panować w ciągu lat czterdziestu. Około r. 1820 rondo rozkłada się bardziej płasko, tak że już nie zamyka twarzy, ale raczej ją obramowuje.

Nieco później budka staje się większa, a rondo wybitnie wysunięte ku przodowi rzuca cień na twarz i piersi.

W tej epoce widzimy na kapeluszach całe ogrody kwiatów, przeplatane kokardami i wstążkami, które spadają ku dołowi, lub układają się w kokardę, związaną pod brodą. Budki

ubierano też niejednokrotnie piórami strusiemi, sterzczącymi ku górze, a rondka obszywano koronką, lub szlarką tiulową. Około 1840 r. ronda znacznie się zmniejszają i kapelusze przybiera się z dwóch boków, nad uszami, pękami kwiatów lub wstążek.

Po kapeluszu poznawało się damę, kobiety z ludu ukazywały się tylko w czepcach.

Ceny były również książęce: księżna de Berry zapłaciła w roku 1818 za kapelusz z haftowanego tiulu 260 franków.

W wyprawie księżniczki Bagratianówny figuruje kapelusz z włoskiej słomki z białymi piórami za 1800 franków.

Szybki rozwój techniki zaznaczył się w wyrobie wstążek, używanych nie tylko do ozdoby kapeluszy, ale i sukni w charakterze pasków i szarf. Pomyślość ówczesnych fabrykantów pod względem zestawienia barw i łączenia odrębnych materiałów dzisiaj jeszcze nie została przewyższona.

Spero



TRUD FIZYCZNY, A RÓWNOWAGA DUCHOWA

Stolica nasza, zacieśniona i biedna w zieleń i kwiaty, którą świeży powiew od pól, łąk i lasów płynący, zdobywać musi szturmem, zwykły ciężony zazwyczaj przez szanice obronne cuchnących, marnych, brudnych, nieskanalizowanych przedmieść, staje się, pomimo najgorętszych umiłowań, Golgotą dla swych mieszkańców.

Sferami pracowników umysłowych, którzy ślęcząc nad pracą swoją, po ośm i więcej godzin dziennie, targa wprost żywiołowa potrzeba ruchu, ruchu, wypowiadającego się nie spacerem po zacieśnionych miejskich arteriach, lecz ruchem, dającego wytchnienie naprężonym siłom umysłowym i nerwowym, dającego zapomnienie trosk i kłopotów, dającego wreszcie pewną sumę zadowolenia, pewien dorobek, a przytem i tężyznę ciała, za którą, tak harmonijnie i nierozłącznie idzie równowaga duchowa.

Czy sfery miarodajne, rzeczywiście nie mogą wejść w sprawę dotyczącą tej bolączki i czy faktycznie nic dla mieszkańców miast swych, zrobić nie są w stanie?

Kwestję utrudnia w pierwszej linii, typ miasta naszego, które starannie neguje wszelką potrzebę zdobienia domów swych ogródkami.

Ogródki takie, w Warszawie nie spotykane, a tak uroczo zdobiące miasta zagraniczne, są niezaprzeczenie bogatym źródłem rozkoszy, moralnego wytchnienia i błogosławionego, a zdrowego trudu, dla tych, którzy uprawą ich się zajmują.

Wielkopolska, którą wrogi zaborca nauczył jednak wielkiego zamiłowania do hodowli roślin, zużytkowuje w miastach swych, każdy skrawek ziemi, zamieniając go w starannie i miłośnie kultywowany ogródek.

Pomijam tutaj bogate ukwiecenie i zadrzewienie miast, przechodząc ponad cudem magnolij, gajem akacji, stuletnimi alejami lip i kasztanów, co na wiosnę i w lecie, robią z Poznania wonną i uroczą oazę, nie patrzę w stronę zdobionych misternie makatami ze złota i purpury murów, co osnute w festony dzikiego wina są wcieleniem cudnego uśmiechu polskiej jesieni.

Sprawa zdobienia miast jest kwestją, w tym wypadku, postronną, zwracam się też jedynie ku tym maleńkim skrawkom ziemi, co zwartymi szeregami, rozsiadły się na krańcach miasta, jako źródło zdrowia i radości.

Część olbrzymich terenów miejskich przeznaczył swego czasu ma-

gistrat na założenie ogródków takich.

Podzielono rozległe place na działki, wydzierzawiając je, na warunkach nad wyraz dogodnych mieszkańcom miasta, bez żadnych zastrzeżeń i ograniczeń, z prawem odstąpienia przy przeprowadzce lub niemożności uprawiania.

Odstępując działkę, pobierają zwykle dotychczasowi posiadacze pewien ekwiwalent za pozostawiane na zdawanym terenie dorobki. W czasach, kiedy rachunek oparty na chęci wyciągnięcia za wszelką cenę zysku z każdej sytuacji, był objawem sporadycznym, a nie przykazaniem chwili, sprawy te nie wracały nigdy w dziedzinę, tak wszechwładnego dzisiaj „odstępnego”, płaciło się prosto ekwiwalent pozostawionych na miejscu narzędzi, oraz wystawionej altanki zamykanej i do przechowywania tychże narzędzi służącej, a znajdującej się na terenie każdego ogródka.

Działki te, które dostały się w ręce pierwszych dzierżawców pod postacią gołego kawałka ziemi, przedstawiają dzisiaj ciekawy obraz tego, do czego można dojść stosunkowo małym wysiłkiem, jeżeli w grę wchodzi praca pełna oddania i zamiłowania. Kawałki ziemi uprawiane przez poszczególne jednostki, trudno nawet nazwać ogródkami, są to prostokątne niewielkie placzki, na których widzimy jednak piękne okazy karłowatych drzew owocowych sztamy agrestu i porzeczek, grządki truskawek i jarzyn, kwietne rabatki, ozdobne krzewy etc.

W samym środku miasta, przy torze kolejowym, który rozgranicza Poznań na dwie części, biegnąc ku dworcowi głównemu, przysiadły maleńkie działki ziemi z nieodzownymi, zielonemi altankami, działki, stanowiące królestwo pracowników kolejowych. Mała furteczka, przitulona do mostu Kaponierą zwanego, a w najpiękniejszej dzielnicy miasta położonego, otwiera się na wąziutkie schodki, co po stromym wale kolejowym, prowadzą w zaciszną dolinę usianą maleńkimi ogródeczkami. Patrząc z wysokości mostu, grządki te przedstawiają ciekawą szachowniczkę, z bogatą, doskonale pielęgnowaną roślinnością.

Zbytecznem będzie wspominać, że wszystkie te plantacje, jak również i ogródki przy parterowych mieszkaniach, których tutaj w dzielnicach o specjalnie mieszkaniowym typie tak wiele, uprawiane są rękami tych, w czym są posiadaniu. Założone pod kierunkiem facho-

wym, są już nadal kultywowane przez właścicieli, właścicielki i ich dzieci, którzy i które z roku na rok nabierają doświadczenia i wycucia potrzeb swego cennego królestwa.

Mieszkając od dwóch lat w Poznaniu, obserwując życie tutejsze i ludzi, mam wrażenie, że ujście, jakie znajdują mieszkańcy tutejsi, w bezcennej możliwości kultywowania własnego ogródka, oraz łatwe, a piękne spacerowanie piesze, w jakie obfitują najbliższe okolice miasta, mają poważny wpływ na całokształt życia.

Nasze młode pokolenie, chowane w epoce, kiedy ważkość sportów doceniana jest należycie, wnosi ze sobą w świat potrzebną dawkę wyćwiczenia cielesnego, oraz wynikającą z przyzwyczajenia konieczność stałego i ciągłego wpłatania w krąg codziennego życia planowego wysiłku mięśni, dającego siłę i tężyznę ciała i ducha. My jednak, my z zeszłego stulecia, płacąc przeczuleniem duchowem za niedobory naszego fizycznego wychowania, nie mamy terenu, na którym wyrobić moglibyśmy siłę fizyczną i zapracować sobie na skarb podtrzymania naszego zdrowia i równowagi duchowej.

Dwie godziny dziennie spędzone na powietrzu i w słońcu, łącznie ze zbawiennym i zastępującym, a nawet przewyższającym ćwiczenia gimnastyczne, ruchem, związanym z uprawą ziemi, będą dla każdego, nie tylko źródłem wzmożenia odporności nerwów i organizmu do maksimum, ale też i niewyczerpanym źródłem o właściwościach kojących i leczących z bezpodstawnego „weltschmerzu”, który rujnuje tylokrotnie egzystencję wartościowych jednostek.

W sile i tężyznie poszczególnych ludzi spoczywa siła i tężyzna społeczeństwa, wszystkie zatem sprawy, związane z kwestją podniesienia jej i utrzymania, są sprawami pierwszorzędnej wagi, a środki z pozoru najbłahsze, bywają brzemienne w skutki doniosłe i szcześliwe.

Czyż przy dobrej woli i zainteresowaniu odnośnych czynników, każde z większych miast nie mogłoby dać ludności swej, wybitnie upośledzonej pod względem obcowania ze zbawiennym i odradzającym wpływem natury, zdrowego czynnika odciążającego, deprawujący element wielkomiejski, pod postacią codziennej dawki fizycznego wysiłku, opromienionego urokiem, płynącym z pracy na najmniejszym nawet skrawku ziemi? N...cka.

JAK SADZIĆ I PIELEGNOWAĆ MALINY

Jesień coraz wyraźniej zaznacza się, każe i mnie przypomnieć Wam kochane Czytelniczki, co trzeba robić: „Jak liście opadną”. Dział mój nie zajmie Was pewno tak, jak podobnie zatytułowany, ślicznymi ilustracjami ozdobiony, artykuł w № 41 „Bluszczu”, w którym mowa o najmilszych kobietom strojach, pięknych wieczorowych toaletach i wspaniałych futrach.

Która z nas nie chciałaby ich posiadać, a w ciężkich dzisiejszych czasach, jak niewiele może pozwolić sobie na taki splendor. Dobrze, jeżeli wystarczy na odświeżenie starych zabytków. To też, choć z żalem poprzestaniemy w tym roku na przeróbkach, a gdy liście opadną, zajmujemy się przygotowaniem pola, które jeśli się do niego umiejętnie i wytrwale zabierzemy, przyniesie nam z czasem zyski, dające możliwość kupienia niejednego futra i sukni balowej, ale co ważniejsze, uniezależnienia się od często bardzo obciążonej kieszeni ojca lub męża. Chcę tu pomówić o zakładaniu plantacji malin, a myśl ta, choć nie nowa, tak niedostatecznie przez niedbalstwo, czy też nieumiejętność wyzyskana dotąd — stać się powinna źródłem dużych zarobków.

Maliny na większą, czy na mniejszą skalę, produkować może z łatwością każda z Pań, posiadająca kawałek ziemi, im większy, tem naturalnie dla niej szczęśliwiej. Zbyt na tę aromatyczną o przyjemnym smaku, własności higieniczne posiadającą jagodę, znajdzie się łatwo.

Poszukiwana jest w handlu cukierniczym, aptekarskim, do fabrykacji win, nalewek i likierów, rozkupowana do domów prywatnych do jedzenia na świeżo, na soki i na konfitury. Każda ilość malin przywieziona na targ nawet z dalszych stron, w stanie niebardzo świeżym, zaraz bywa rozkupiona; jeżeli zaś wskutek za wielkiej od miasta odległości nie można sprzedać na świeżo produkcji, przerobić je można w domu na doskonałe wina,

nalewki, likiery i sorbety do lodów na zimę, a nadewszystko, na ów sławny niegdyś u nas miód maliniak, którego sekret wyrobu prawie że zaginął, posiadam go jednak jeszcze „w tece mojej babki”, i chętnie podzielę się nim z paniami, skoro tylko założymy i wyhodujemy piękne plantacje.

Mam wrażenie, że malina zastąpić u nas może tak bardzo rozpowszechnione na południu winogrona i sadzona powinna być tak powszechnie, jak tam krzew winny.

Z przyjemnością i podziwem patrzyłam zagranicą na umiejętność wyzyskania najmniejszego kawałka ziemi. Widziałam w Szwajcarii domki wlepione po prostu w górę, stanowiącą ich tylną ścianę i część dachu, na którym rosło parę krzaków winogron, a zbiór z jednego, z kilku, czy też z dużej ilości szedł do wspólnego mianownika i przynosił korzyść właścicielowi.

Pokaźny dochód można by w odleglejszych okolicach osiągnąć również z malin suszonych, bardzo poszukiwanych jako środek leczniczy, a przed wojną sprowadzanych z dalekich rosyjskich prowincji, a choć w tak długiej drodze dużo traciły wartości i aromatu, rozkupywano je, bo innych nie było.

Dobrze posadzone i racjonalnie prowadzone maliny w drugim roku dają bardzo bogaty plon. Na późnej jesieni, w ziemię głęboko skopaną — doprawioną drobną krowią mierzwą, sadi się maliny co łokieć i na zimę nakrywa je się słomiatym nawozem. Na wiosnę puszcza silne pędy, które jednak dopiero w roku następnym obficie owocować będą. Chcąc mieć piękne i duże maliny nie trzeba, aby jedna kępa zachowała więcej jak trzy pędy, gdyż inaczej utworzy się gąszcz cienkich gałązek, nie rodzących wcale, albo rodzących małe, robaczywe, jakby leśne, jagódki, tak jak to w ogrodach, nieumiejętnie lub niedbale prowadzonych, często się widuje. W lecie, podczas

suszy młode krzewy trzeba podlewać i zasilać co jakiś czas gnojówką. Chwasty, lubiące bujnie wyrastać między malinami starannie wyrwać żeby ich nie zagaiły, a ziemię często wzruszać motyką, lub żelaznymi grabiami. O ile mamy do czynienia z krzakami, które już owocują — na jesieni oczyścić je z niepotrzebnych odrostków, wyciąć gałęzie, które wydały owoce — młode, wokoło korzeni obłożyć świeżą ziemią, przerobioną z nawozem. Na wiosnę z rozpoczęciem robót przekopać między malinami, przyciąć wierzchołki pędów i pielęgnować tak jak powyżej, a możemy być pewni pięknego i obfitego zbioru. Maliny trzeba przesadzać co pięć lat, uważając żeby ich nie sadzić na miejscach wysokich, na południe zwróconych, bo wyschną, najlepiej zakładać nowe kwatery co trzy lata, wtedy zawsze będziemy mieli obfite rodzające krzaki. Kasować bowiem będziemy stare, kiedy młode najobficiej rodzić zaczną. W malutkich ogródkach sadić można maliny na rabatkach z tyłu, tak aby tworzyły szpaler, o który opierać się będą zasiane u brzegu kwiatki. Tak prowadzone maliny trzeba sadić gęściej co pół łokcia jeden krzak od drugiego i starannie usuwać zbędne pędy — pozostawiając zawsze tylko trzy. Na wiosnę, przy cięciu grubszym, pozostawić półtora łokcia — cieńszym łokieć tylko wysokości. Tak robiono w Kijowie, który słynął zawsze ze wspaniałych malin.

Najpiękniejsza i najwdzięczniejsza do hodowli odmiana jest „Królowa targu”, którą każdej z Pań polecam.

Maliny powtarzające czyli miesięczne, chociaż duże ale kwaśne i bez aromatu, rozsypujące się jak kasza, na żadne przetwory ani do handlu, się nie nadają, można je sadić jedynie dla własnego użytku. Tak samo i białe bardzo delikatne, mające nad miesięcznymi tę wyższość, że bardzo z nich jest ładna jasna konfitura.

Z...ska.



RÓŻNE SPOSOBY PRANIA

(ciąg dalszy)

Farbkowanie i krochmalenie bielizny. Po wyjęciu i wykręceniu bielizny z wody, przystępujemy do farbkowania i krochmalenia jej — farbkuje się dla nadania pozoru świeżości i zabezpieczenia przed żółknięciem przy dłuższym leżeniu — krochmalili dla przywrócenia straconej w praniu sztywności — czyli apretury.

Farbki trzeba używać w najlepszym gatunku — ultramariny w proszku. Na kilka wiader zimnej wody przygotowanej w balji — sypie się dwie łyżki sproszkowanej ultramariny do woreczka flanelowego, który mocno związany, zanurza się w wodzie i wyciska tak długo, dopóki woda dostatecznie się nie zrobi niebieska. Każdy kawałek starannie roztrzepany płucze się w przygotowanej farbcie — z początku po jednej sztuce, następnie kiedy stanie się słabsza, wkłada się po parę sztuk, uważając żeby długo nie leżały, bo zaciekną i dostaną sinych smug i plam, które później trudno wyprać. Nową bieliznę farbkuje się słabiej, niż starą — wełnianych rzeczy, pończoch i kolorów nie farbkuje się wcale. Skoro woda, w której się farbkowało zbieleje — trzeba ją wylać — i doprawić świeżej farbki.

Krochmalu używa się: pszenne — do białej bielizny miękkiej — ryżowego — do batystów i sztywnej męskiej bielizny — mąki kartoflanej — do kolorów, do bielizny mąka kartoflana nie powinna być stosowana, bo ta sinieje od niej i pęka.

Czarne i ciemne batysty i perkale sztywni się rozpuszczając w gorącej wodzie trzy do pięciu listków żelatyny na jedną suknię, zależnie od grubości materiału.

Krochmal przygotowuje się w sposób następujący: na 100 sztuk bielizny rozrabia się pół kilo krochmalu, trochę zimnej wody — skoro należycie rozarty, rozprowadza się 15 litrami wrzącej wody, ciągle mieszając równo łyżką na gorącej blasze — a gdy zacznie gęstnieć zestawia z niej. Nie powinien wcale być gotowany, a tylko mocno zagrzany. Ciepły rozbiera się potrochu potrzebną ilością wody, bacząc by nie zastygł — bo uformują się gruzolki, które później osiadają na bieliźnie. Chustek do nosa, rękawików, pończoch, trykotów, wełny i barchanów nie krochmalili się wcale; męskie drobiazgi i gorsy od koszul naciera się przed prasowaniem surowym krochmalem ryżowym, rozpuszczonym w zimnej wodzie z dodatkiem małym boraksu.

Wieszanie bielizny. Skończywszy z farbką i krochmalem, rozpościeramy czysto wytarte sznury, na dworze lub na przewiewnej górze i wieszamy na nich na lewo obróconą, dobrze roztrzępaną bieliznę, a to dla oszczędzenia roboty przy składaniu jej do magła. Koszule wieszają się rękawami na dół, duże sztuki przewieszają się przez dwa sznury. Susząc na wietrze, najpraktyczniej jest przypinać klamkami do sznurów, aby zabezpieczyć od spadania. Pilnować trzeba żeby bielizna nie przeschła, zdejmując do kosza sztuki w miarę ich wysychania — jeżeli pomimo to bielizna przy składaniu jej do magła, okazałaby się za sucha (wilgotna lepiej się magluje), trzeba ją skrapiać kropidłem, albo kto posiada specjalnym skrapiaczem do bielizny.

Po zdjęciu wszystkich sztuk, trzeba ją posortować i zaraz składać. Batystów nie magluje się wcale, tylko prasuje od razu na mokro. Inne sztuki przewraca się na prawą stronę, wyciąga starannie, aby brzegi były równe, a szwy na szwy trafiały. Duże sztuki, jak prześcieradła, obrusy, wyciągnąwszy w dwie osoby składa się wzdłuż na trzy części — poszewki na pół, serwetki i chustki, wygładziwszy palcami brzegi ich, składać całe. Koszule i majtki składać uważając na szwy, naprzód wzdłuż, potem w szerz.

Starannie złożona i wymaglowana bielizna, wymaga o połowę mniej pracy przy prasowaniu, źle złożona zachowa po maglu załamki, które trudno później żelazkiem wyrównać. Do maglowania trzeba mieć przynajmniej dwa maglowniki z cienkiego szarego płótna, w które zawija się szczerlnie po kilka sztuk bielizny — uważając żeby maglować równo, a koronki, hafty, guziczki składać do środka, żeby ich nie podrzeć i nie połamać. Tak przygotowaną bieliznę maglować w miejscu najlepiej w maglu elektrycznym, a będzie gładka i świecąca i prasowanie jej mało zajmie czasu i spotrzebuje niewiele opału. J. S.



Reminiscencje z kursu wykładów o przetworach owocowych T. M. O.

Kiedy przed paru tygodniami zaledwie pisałam o suszeniu owoców, dzieliłam się z Czytelniczkami Bluszczu z jednej strony własnym doświadczeniem, z drugiej narzekałam na niski gatunek suszu krajowego, spotykanego na rynku. Dzisiaj, dzięki temu, że miałam możliwość przesłuchania kursu przetworów owocowych Towarzystwa Miłośników Ogrodnictwa, mogę się podzielić na razie garścią praktycznych wiadomości, które jeszcze w tym sezonie suszarskim będą mogły być wykorzystane.

Mówię narazie, gdyż każda właścicielka sadu owocowego, każda nawet dzierzawczyni takowego, każda pani domu, mająca liczną rodzinę, a mieszkająca w okolicy, gdzie owoc jest tani, kursu takiego sama wysłuchać powinna.

Ten pierwszy cykl wykładów o przetworach owocowych powstał dzięki inicjatywie prezesa Towarzystwa Miłośników Ogrodnictwa p. Schönfelda, którego ciekawe artykuły z dziedziny ogrodnictwa, a głównie z dziedziny hodowli kwiatów pokojowych, czytelniczki Bluszczu czytają zapewne z prawdziwą przyjemnością.

Składały się nań wykłady profesora W. Iwanowskiego o wyrobie win owocowych, konserwach owocowych i wyrobie suszu z owoców i jarzyn. Nadzwyczajna wiedza nie tylko teoretyczna, lecz i praktyczna, co nawiasem mówiąc, u uczonych rzadko chodzi w parze, zamieniła te wykłady, zaczynające się od teorii, możliwie udostępnionej ze względu na rozmaity poziom przygotowania słuchaczy, a kończące na zajęciach praktycznych, w prawdziwą, skróconą szkołę owocarstwa przetworowego. Te zajęcia wykonywane własnoręcznie przez słuchaczy, pod stałym kierownictwem profesora i przy ciągłych jego wskazówkach i wyjaśnieniach, nauczyły więcej, niż całe miesiące słów, wygłaszanych z katedry.

Niesłychana uprzejmość profesora Iwanowskiego, szczegółowe odpowiedzi na zapytania, chęć podzielenia się największą ilością praktycznych wiadomości ze słuchaczami, pozostawiły na nich tak miłe wrażenie, że żał było wprost kończyć te zajęcia, wychodzić z ostatniego z myślą, że się one nie powtórzą — tej jesieni naturalnie. Bo, że w roku przyszłym nie jeden komplet, lecz kilka lub kil-

kanaście takich kompletów, zapuka do politechniki, prosząc o taką samą serję wykładów, ani chwili nie wątpię.

Dział przetworów słodkich, marmelad, soków, konfitur i jam'ów, objął p. Meryng. I ten prelegent potrafił w najwyższym stopniu zainteresować słuchaczki, i nie tylko słuchaczki, gdyż panowie narówni z paniami pilnie obierali owoce, wyciskali soki, blanzierowali gruszki, — ba nawet myli słoiki do galarety i podrzucali węgiel do paleniska suszarki. Przy wyrobie win owocowych, jako silniejsi, wprowadzali w ruch gniotronib i prasę, przenosili cębrzyki, butle i t. p. — wobec tego, że zwykle cała „lepsza”, silniejsza połowa rodzaju ludzkiego ma tego rodzaju zajęcia gospodarcze w pogardzie i radaby je zwalić całkowicie na „gorszą”, słabszą połowę, dowód ten rozwoju idei równouprawnienia, robił niezwykle miłe wrażenie. Szkoda wielka, że kursy takie dopiero w tym roku zostały zapoczątkowane, wobec zajęć praktycznych, w których tylko niewielka ilość osób jednocześnie może brać udział, jakie trzydzieści parę osób zaledwie mogło ich wysłuchać. Tegoroczny olbrzymi urodzaj owoców, na Kresach szczególnie, gdzie nima na nie literalnie żadnego zbytu, mógłby może choć częściowo być zużytkowany. Wina owocowe szczególnie mają olbrzymią przyszłość przed sobą, a ponieważ cbaż szanowni prelegenci, obok wielkiej, fabrycznej produkcji, zawsze uwzględniali wyrób domowy na małą skalę, i wskazywali jakiemi, domowymi statkami można zastąpić kosztowne maszyny, każdy dwór i dworek, każda chata nawet, otoczona owocowym sadem, mogłyby się zaopatrzyć w zapas taniego i zdrowego napoju, wina takie powinny powoli wypierać z użycia trujący alkohol kartoflany — wódkę, i rozpowszechnić się tak, jak wina domowe na południu, a jabłecznik (cidre) na północy Francji.

Konfifury i galarety, soki i jam'y oczywiście mają znacznie mniejsze zastosowanie. Każda gospodyni na wsi i w mieście ma swoje sposoby ich przyrządzania i sposoby te niewiele odbiegają od naukowych metod, stosowanych na wykładach,



co najwyżej ze względu na to, że używanie konserw owocowych nie powinno należeć do zbytków, a wchodzić w codzienny jadłospis, wskazanem jest robienie jaknajwiększej ilości marmelad, mniej kosztownych od konfitur i na które to marmelady można użyć wszelkie mniej wartościowe owoce — opadki, niedorozwinięte sztuki, lub nawet, przy domowym wyrobie win wytłoki jabłek pozostałe przy prasowaniu. Oprócz marmelad na najszerze rozpowszechnienie zasługują jam'y. Jest to rodzaj uproszczonych, ekonomicznych konfitur, używanych w dużych ilościach w Anglii, gdzie stanowią one składową część codziennego śniadania.

Natomiast suszenie owoców ma olbrzymie znaczenie w gospodarstwie domowym — i w gospodarstwie krajowym. Z naszych, krajowych owoców można otrzymywać susz pierwszorzędną, stosując sposoby najprostsze — trzeba je tylko znać. Jabłka ususzone na próbę, były równie białe jak kalifornijskie, a gruszki bielsze nawet.

Narzędzia do obierania i krajania ich nie są zbyt kosztowne i mogą nawet w domowym gospodarstwie, a nie w pracującym na sprzedaż, być nabyte i stosowane. Parę chemikalijów, jak kwas cytrynowy, lub ług potasowy, można wszędzie nabyć i też są niekosztowne wcale, suszarnię do większej produkcji można wykonać przy pomocy zręcznego majstra gospodarczym sposobem, a na domowy użytek można suszyć owoce nawet pod zwykłą blachą przy należytem jej na ten cel urządzeniu.

Obaj prelegenci ogromny nacisk na to kładli, aby wskazać najprostsze, najłatwiejsze sposoby

postępowania i umożliwić zaopatrzenie najskromniejszych nawet gospodarstw w przetwory owocowe.

Na zakończenie słuchacze pod przewodnictwem p. profesora Iwanowskiego zwiedzili oddział wyrobu win Towarzystwa Warszawskiej Rektyfikacji. Dzięki wielkiej uprzejmości administracji, mieli możliwość obejrzenia wszelkich czynności z tą fabrykacją związanych, od chwili kiedy jabłka, przywożone w ogromnych kosztach i starannie sortowane, wpadają do olbrzymiej, parowej szatkownicy, która je rozdrabia i kiedy prasa hydrauliczna z nich sok wyciska, aż do chwili, kiedy po perjodzie burzliwej fermentacji, gotowe wino dojrzewa w olbrzymich beczkach, oczekując chwili rozlania do butelek i wywiezienia do składów, skąd już idzie na sprzedaż. Ogromne piwnice, wypełnione równie ogromnymi beczkami, robią imponujące wrażenie, o wszystkim tam pomyślano, aby temu winu dać jaknajlepsze warunki bytowania, nawet koszyki z sianem — dla kotów, tępiciele groźnych szczurów i myszy — stoją przygotowane. Że rezultaty tych wszystkich zabiegów są wysmienite, to mieliśmy sposobność stwierdzić, gdy na zakończenie oględzin, gościnni gospodarze hojnie częstowali wycieczkę próbkami różnych win: — Sauternes, Madery, Tokaju i t. p., nawet szampa próbowano, chociaż ten ostatni nie wyszedł jeszcze ze stadium prób i eksperymentów i w handlu się jeszcze nie znajduje. Obok win próbowano miody, sycone na sokach owocowych, ten najstarszy trunek polski, znany całe wieki przed wprowadzeniem tuczącego niemieckiego piwa i trującego kartoflanego alkoholu, ma właściwość rozweselania dusz i odejmowania sił nogom, co powoduje, że biesiadnicy po nim niechętnie od stołu wstają, — w odznaczającym się więc taką gościnnością jak nasz, narodzić, powinien znowu jaknajprędzej do łaski i codziennego, a przynajmniej co przyjęciowego użycia wrócić. Mam nadzieję, że p. profesor Iwanowski przyszłej jesieni lub może już lata, syceniu miodów chociaż jedną pogadankę udzieli — tymczasem z całego serca „Bóg zapłać” za to, co nam dał tak serdecznie.

Pani Eizblata



Przepisy gospodarskie

KAPUSTA FASZEROWANA
PO WIEJSKU.

Dużą głowę kapusty o luźnych liściach sparzyć, rozebrać na poszczególne liście. Tymczasem przygotować farsz następujący. Na dwanaście dużych liści, usmażyć jajecznicę z czterech jaj, wmieścić w nią ćwierć kilo tłustej szynki lub boczku pokrajanego w drobną kostkę. Uduścić w rondlu z kawałkiem masła lub szmalcu pokrajane w talarki cztery cebule, uważając aby zupełnie zmiękły, a nie przypaliły się. Zmieszać te cebule z jajecznicą, wędliną i wystudzić, kto lubi ostre przyprawy, może nieco ten farsz przypieprzyć. Farsz zawijać w liście, jak zwykłe gołąbki. W płaskim, dużym rondlu zrumienić 100 gramów (10 deka, ćwierć funta) wędzonej słoniny, pokrajanej w cienkie plastry, kłaść na to gołąbki (obwiązane grubymi nićmi, aby się nie porozpadały), obsmażyć z obu stron, podlać nieco wodą, przykryć pokrywą i dusić, potrząsając rondlem, aby do dna nie przystało, aż kapusta zmięknie. Popróbować na smak, osolić, zalać kwaterką śmietany i dusić jeszcze nie więcej niż pięć minut, aby śmietana nie roztopiła się na masło. Nitki pozdejmować, włożyć napowrót w rondel, w którym się dusiło, owinąć rondel serwetą i wydać na stół. Są dużo smaczniejsze od zwykłych gołąbków nadziewanych mięsem z ryżem i jak każde danie z kapusty znoszą dobrze odegrowanie.

SAŁATA OCTOWA Z BANI.

Dla amatorów ostrych sałat daje ten przepis oryginalny. Banię

żółtą lub białą obrać ze skóry i pokrajać karbowanym nożem w zgrabne kawałki, można też pokrawać ją w kulki łyżeczką do kartofli. Utrzeć na tarce 3 deka imbiru (licząc na 2 kilo bani już oczyszczonej), osypać tym imbirem ułożoną w wazie banię, włożyć strączek pieprzu tureckiego rozetrwanego na części, kilkanaście ziarn zwykłego pieprzu grubo potłuczonego, zalać to wszystko przegotowanym i ostudzonym octem. Trzymać to wszystko tydzień, poczem kawałki bani wyjmować jeden po drugim starannie opłukując z orzenia. Ocet z korzeniami przecedzić przez flanelę lub watę, dodać świeżego, winnego octu. Na szklanekę octu brać szklanekę cukru, zrobić lekki syrop, zalać nim banię. Trzymać tak dwadzieścia cztery godziny, poczem ulepić zlać, dodać doń ponownie po szklance cukru, na szklanekę płynu, zagotować, na wrzący włożyć banię i smażyć na bardzo wolnym ogniu aż się stanie przezroczysta. Dodać na każde kilo konserwy pastylkę benzoesu rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Wystudzić zupełnie i złożyć do słoja. Bardzo ostra ta sałata jest dobra do zimnych, czarnych mięs, (sarniny, baraniny, sztuftady i t. p.).

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Kładąc linoleum na posadzce, dla oszczędzenia takowej, nakryć ją gazetami pod linoleum, aby nie przywarło, a tem samem nie podarło się przy zdejmowaniu

* * *

Chcąc zmyć ceratę stołową, trzeba rozkłócić dwie łyżki oliwy z pół łyżką octu; wytrzeć tym płynem ceratę — następnie zmyć ciepłą wodą. Wszystkie plamy puszcza; jeżeli zastarzałe, dodać trochę więcej octu.

Wobec tego, że przesyłka 1 lub paru słoików podnosi znacznie koszt, zechcą zgłaszać się Panie do miejscowych aptek i składów aptecznych, z żądaniem sprowadzenia Kremu z Warszawy.

Dr. med. J. Świtalska
Krucza 31, tel. 102 77.

Stałej Czytelniczce.

Wykonanie roboty wymaga, aby ktoś umiętny Pani wskazał, jak do tego się zabrać. Łatwy wzór na laufer znajdzie Pani w № 23 „Bluszczu”. Może on być przesłany w naturalnej wielkości za nadaniem 1.50 gr. do Redakcji Dział Robót. Wykończyć można laufer mereżką, lub pikotkami z grubej bawełny. Lepiej zamiast lassé, które się nie pierze, użyć bawełny cotton perlé grubej.

Czytelniczce „Bluszczu”.

Aparat „Vecka” można dostać u Bruna — Bielańska 2. Kosztuje 27 zł. na sześć słoików, sądzę, że wysła pani za pobraniem.

Sposób użycia aparatu będzie do niego dołączony.

P. Jadwidze S.

Najważniejszym i jedynym warunkiem — dobra, gęsta, słodka śmietanka. Trzeba przed biciem — mocno ochłodzić. Bić w głębokim naczyniu trzepaczką w jedną stronę, aż zgęstnieje i brana łyżką nie rozlewa się, dosypać pudru z wanilią (sympic, wolno ubijać) i wynieść do chłodnego miejsca. Ubijać na pół godziny przed obiadem.

P. J. K. z Paszowej.

Dynia, najlepiej pomarańczowa, odpowiednio usmażona, może zastąpić, jako cykuta, melon, należy ją tylko przy smażeniu zromatyzować. Obraną ze skóry i pokrajaną karbowanym nożem lub łyżeczką od kartofli w pasy lub kulki dynię ułożyć w wazę i zalać lekkim ulepem, zrobionym z kilo cukru i dwóch szklanek wody na dwa kilo dyni. Nazajutrz ulepić, przesmażyć i już nieco cieplejszym

KURSY PRZEMYSŁU
ARTYSTYCZNEGO

ELEONORY ONICHIMOWSKIEJ
Krucza 19, m. 6

Dywany strzyżone, kilimy, haft biały, kolorowy, aplikacje, filet, koronki igłowe, batiki, metaloplastyka malowanie na materiałach, wypalanie, tarso, emalja.

Wydaje się świadectwa.

I formacje od godz. 5-7

Korespondencje działu
praktycznego

Do moich Czytelniczek „Bluszczu” na Prowincji.

Otrzymuję wiele listów z Prowincji, w których Czytelniczki „Bluszczu” zwracają się do mnie z prośbą o posłanie za zaliczką 1 lub 2 słoików „Mojego Kremu”.

Śpieszę wyjaśnić, że sprawę fabrykacji i sprzedaży przekazałam Tow. akc. Fr. Karpiński, El. ktoral-na 35, Warszawa.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener

Wyłączne dla k. b. et od 5-7.

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102 77

zalać dynię. Powtarzać to trzy czy cztery razy. Ostatni raz dodać drugie kilo cukru, włożyć we wrzący syrop dynię, wlać kilka kropel olejku cytrynowego (nie za dużo) lub esencji ananasowej i smażyć na bardzo wolnym ogniu, aż się stanie przezroczysta. Dodać na każde kilo konfitur pastylkę benzoenu, rozpuszczonego w łyżce gotowanej wody, ostudzić zupełnie i składać w słoju.

Pani K. Z. w Krasnymstawie.

Pasy i zęby szydełkowe do firanek robić można z kordonkowej bawełny, albo z knotowej surowej—dostanie ją Pani u Wegenki, Warszawa, Krucza № 24. Tiulu do wyszywania używa się greckiego, trzeba wziąć 2 długości firanek zależnie od wysokości mieszkania—dostanie go Pani w Warszawie u Rozmanitowej, Ossolińskich 8.

Pani M. A. z Turki.

Żaden ług z samego popiołu nie niszczy bielizny, — nie trzeba tylko używać ługu gryzącego, — preparowanego z popiołu z wapnem. Do bielizny najlepszy jest ług z popiołu wypalonego z białego drzewa, jak np. brzoźowe, grabowe, i t. p.

Pani M. Z. Karczew-Podlaski.

W № 39 „Bluszczu” zamieściliśmy w artykule „gruntowne porządki” sposób odświeżania wszelkich mebli. Dziś powtarzam niezawodny środek czyszczenia dębowych mebli: splamione lub brudne miejsca wytrzeć najcieńszym numerem papieru szmerglowego, gdy plamy znikną — natrzeć całe miękkim gałgankiem benzyną z rozpuszczonym białym woskiem — i szczotkować aż do połysku zwyczajną twardą, włosianą szczotką.

Pani St. B. — Złoczów.

Plusz zszarzały przedewszystkiem doskonale wyczyścić twardą włosianą szczotką — wytrzeć — znów wyczyścić, jeżeli jeszcze szary, czyścić benzyną, jak wyschnie, przeciągać chwilę nad gorącą parą — trzymając włos na wierzch. Dopóki spód wilgotny, prasować na powietrzu w dwie osoby — nie wyciągając zbyt, żeby nie popsuć fasonu. Można też posypać plusz czystym, drobnutkim, b. suchym rzeczonym piaskiem, następnie czyścić i trzepać — powtarzając czynność, dopóki koloru nie odzyska.

Pani C. S. w Lublinie.

Rozgotować w wodzie miękkiej mydła marsylskiego — precedzić

Zawiadamiamy nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu” organizuje **KOMPLETY HAFTÓW ARTYSTYCZNYCH**. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3 ej do 4-ej popołudniu. Tel. 273.34.

JEDNORAZOWE PORADY W SPRAWACH ROBÓT.

przez płótno i ostudzić. W zaledwie letniem wypłókać kilka razy futro, gniotąc i nacierając ręką. Tak wyprać kilka razy — uważając, aby woda nie była gorąca, bo futro żółknie. Wypłókać w letniej wodzie i nie wykręcając powiesić. Na pół wysuszone wyczesać grzebieniem i posypać proszkiem, złożonym z 8 gr. pudru ryżowego i 35 gr. talku; — na końcu dobrze wytrzepać i wyszczotkować. Odpruć trzeba koniecznie od wierzchu.

Opis sukien i robót do Nr. 44

842. Palto z szarego zamszu, przybrane skunksami.

843. Palto z brązowego aksamitu, przybrane tumanami.

844. Suknia z rezedowego sukna, przybrana haftem i aplikacją.

845. Suknia balowa z czarnego velours chiffon, przybrana gronostajami i galonem z brylancikami.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

846. Suknia z rudawego crêpe marocain' wykończona ciemniejszym aksamitem.

847. Płaszcz z aksamitu, przybrany futerkiem dla dziewczynki od lat 8 do 12.

848. Płaszcz z wełny w kratę dla dziewczynki od lat 5 do 8.

849. Palto z brązowego sukna, ubrane strzyżonymi małpami.

850. Suknia z lekkiej wełny z karbowanymi bokami.

851. Bluzka z sukienka szaro-lila, wykończona haftem i aksamitką w ciemniejszym tonie.

852. Bluzka wełniana, wykończona haftem.

853. Bluzka sukienka, przybrana aksamitem.

854. Bluzka z lekkiej wełny, przybrana fularem w pasy.

855. Bluzka z czarnej tafty, przybrana kolorową aplikacją.

856. Bluzka wełniana, wykończona plisą sukienką.

857. 858. Serwetki pod filiżanki. Wielkość naturalna. Haft richelieu.

859. 860. 861. 862. Wzory do wyszycia ściąganiem pocztowym na dzieciennych fartuszkach.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Nadesłane do Redakcji (Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

LABORATOIRE DES PARFUMS
ET COSMETIQUES

„PERFECTION“

Varsovie, Szpitalna 10.
Tel. 124-94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Niedowierzające. Z całym przekonaniem polecamy Pani wyroby ABARIDOWE, które zyskały sobie uznanie od lat 30-u u naszych klientek. Mamy setki listów ze słowami uznania i podziękowań, które każdej chwili może Pani u nas przejrzeć i przekonać się o zbawiennym działaniu na cerę, od osób postronnych, które powodowane jedynie wdzięcznością, listy powyższe do nas nadsyłają. Bezwarunkowo uniknie Pani zmarszczek, stosując stale do mycia OTRĄBKĘ ABARIDOWĄ z ciepłą wodą, a po umyciu twarzy (najlepiej na noc) wetrzeć odrobinę KREMU ABARIDOWEGO i przypudrować PUDREM ABARID. Naturalnie zabiegi te stosować należy dłuższy czas, a będzie Pani z osiągniętych rezultatów zupełnie zadowolona. Nietylko nowe zmarszczki nie będą się tworzyć, ale stopniowo wygładzą się dawniejsze.

M-me Erce d'ès

Wyroby Abaridowe nabyć można:

W Warszawie: Perfection, Szpitalna 10 i W. Paszkowski.

W Krakowie: K. Miklaszewski, Pl. Dominikański Nr. 1.

We Lwowie: P. Mikolasch i Ska, Kopernika Nr. 1.

W Poznaniu: M. Zaręba, Fredry 2.

W Łodzi: L. Spiess i Syn, Piotrkowska Nr. 107.

W Sosnowcu: M. Jagiełłowicz, ul. 3 go Maja 22.